1/2015

# PODLASKI KWARTALNIK KULTURALNY

Nr indeksu 332194 ISSN 1234-6160

# PODLASKI KWARTALNIK KULTURALNY

1/2015

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
W BIAŁEJ PODLASKIEJ

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW PODLASIA

*Jak se staniesz przed Wielkim Sądem i cie spytajom „kto?”,*
*nie będziesz mówił filozof ani redaktor, ale powiesz – „jo” (ks. J. Tischner)*

Kolegium redakcyjne: Jarosław Bartniczuk (sekretarz), Tomasz Demidowicz, Ryszard Kornacki, Grażyna Lewczuk, Grzegorz Michałowski (red. naczelny), Roman Pieńkowski, Maria Pietruczuk.

Wydawnictwo ukazuje się
przy pomocy finansowej:

***Prezydenta Miasta Białej Podlaskiej***

Na okładce:
Stanisław Baj: *Rzeka Bug, 2006,*
*olej na płótnie, 100 x 120*

Red. techniczny:
Grzegorz Michałowski

Adres redakcji:
Miejska Biblioteka Publiczna „Podlaski Kwartalnik Kulturalny”, ul. Warszawska 12A, 21-500 Biała Podlaska, tel. (83) 341 64 52, www.mbp.org.pl,
e-mail: regionalia@mbp.org.pl Nakł. 350 egzemplarzy

Druk i oprawa: Poligrafia Miejskiej Biblioteki Publicznej w Białej Podlaskiej

Spis treści

ARTYKUŁY

***Jadwiga Mizińska***
Światłość i kreska: o malarstwie Stanisława Baja 7

***Adam Panasiuk***
Zagadka kamiennych figur ze wsi Neple i Woskrzenice Duże 17

WSPOMNIENIA

***Józef Kościuk***
Moje wspomnienia z lat wojny 29

PREZENTACJE

***Małgorzata Markowska***
Martwisz się … że powieki ci opadają 49

***Komu słowo pisane jest bliskie:*** z członkami jury 30 Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. J. I. Kraszewskiego rozmawia Kamila Kolęda 51

***Katarzyna Sawczuk***
Wiersze: *pieśń nie-weselna, o przeznaczeniu, [poznałam kiedyś starych ludzi]* 54

***Zdzisław Kobierski***
Wiersze: *przegapiłem, smutne piękno, ta sama, wolę* 57

***Paulina Maciejuk***
Wiersze: *24.11.2012, XII. 2012, wehikuł czasu, Katharsis* 59

***Anna Czujkowska-Włodarska***
Dwie strony ulicy: dziennik ubiegłego tysiąclecia 61

***Agnieszka Panasiuk***
Wędrujące wspomnienia 76

***Katarzyna Smyk***
Jesień sprawiedliwa 90

RECENZJE

***Jadwiga Mizińska***
Święta pamięć – subiektywne czytanie „marzeniodajni" Dominika Sobola 95

***Paweł Gocko***
Czas mija szybko … a dwie godziny mogą zdecydować o losach 99

***Walentyna Gorbaczewska***
Pomilczmy razem … czyli złota zasada w poezji Anny Korólczyk 102

KRONIKA KULTURALNA 108

Nadesłano do redakcji 114

# *W kręgu współpracowników i przyjaciół „Podlaskiego Kwartalnika Kulturalnego”*

◘ ◘ ◘

***Hanna Bajkowska*** (Biała Podlaska) ◘ ***kultura***

***Mariusz Bechta*** (Biała Podlaska) ◘ ***historia***

***Ryszard Chojecki*** (Łosice) ◘ ***literatura***

***Józef Czapski*** (Tuczna) ◘ ***pamiętnikarstwo***

***Ludwik Filip Czech*** (Gdańsk) ◘ ***literatura***

***Swietłana Denisowa*** (Mińsk, Białoruś) ◘ ***literatura***

***bp Antoni P. Dydycz*** (Drohiczyn n/B) ◘ ***historia, socjologia***

***o. Eligiusz Dymowski*** (Kraków) ◘ ***literatura***

***Aniela Halczuk*** (Żeszczynka) ◘ ***folklor***

***Aleksander Iljin*** (Pińsk, Białoruś) ◘ ***historia***

***Stanisław Jadczak*** (Lublin) ◘ ***kultura, regionalizm***

***Ludwik Janion*** (Warszawa) ◘ ***literatura***

***Szczepan Kalinowski*** (Biała Podlaska) ◘ ***historia***

***Wanda Kardasz*** (Wrocław) ◘ ***pamiętnikarstwo***

***Helena Kiwako*** (Brześć, Białoruś) ◘ ***literatura***

***Agnieszka Kolasa*** (Zabłocie) ◘ ***historia***

***Bogusław Korzeniewski*** (Piszczac) ◘ ***historia***

***Tatiana Kowieńko*** (Brześć, Białoruś) ◘ ***regionalizm***

***Henryk Kozak*** (Lublin) ◘ ***literatura***

***Jan Kukawski*** (Warszawa) ◘ ***historia***

***Olga Lalić-Krowicka*** (Dukla) ◘ ***literatura***

***Roman Łysakowski*** (Warszawa) ◘ ***historia, kultura***

***Maria Makarska*** (Lublin) ◘ ***literatura, sztuka***

***Tatiana Nałobina*** (Brześć, Białoruś) ◘ ***literatura***

***Małgorzata Nikolska*** (Biała Podlaska) ◘ ***historia sztuki***

***Helena Romaszewska*** (Biała Podlaska) ◘ ***literatura***

***Arkadiusz Sawczuk*** (Biała Podlaska) ◘ ***plastyka***
***Władimir Suchopar*** (Brześć, Białoruś) ◘ ***kultura***
***Leon Szabluk*** (Malowa Góra) ◘ ***pamiętnikarstwo***
***Marta Świć*** (Suchowola) ◘ ***literatura***
***Jurata Bogna Serafińska*** (Warszawa) ◘ ***literatura***
***Leszek Sokołowski*** (Krzymoszyce) ◘ ***literatura***
***Paweł Tarkowski*** (Biała Podlaska) ◘ ***historia***
***Andrzej Tłomacki*** (Warszawa) ◘ ***historia***
***Lech Zaciura*** (Biała Podlaska) ◘ ***literatura***

◘ ◘ ◘

**Podlaski Kwartalnik Kulturalny** jest popularnym wydawnictwem adresowanym do miłośników Podlasia oraz środowisk zainteresowanych problematyką wschodniego pogranicza kulturowego. Polecając czytelnikom nasze czasopismo sugerujemy wybranie najkorzystniejszej formy jego zakupu – stałą prenumeratę. Przyjmuje ją Miejska Biblioteka Publiczna: **prenumerata na rok 2015 wynosi 50 zł** (łącznie z kosztami przesyłki). Konto: Miejska Biblioteka Publiczna w Białej Podlaskiej Kredyt Bank Oddział w Białej Podlaskiej – nr konta: **47 1500 1331 1213 3000 7663 0000**. Tylko prenumerata gwarantuje systematyczność otrzymywania kolejnych numerów kwartalnika, a tym samym najnowszych artykułów o tematyce regionalnej, informacji o nowych publikacjach, wydarzeniach i zjawiskach kulturowych, jakie zachodzą na Podlasiu. Zachęcamy do popularyzowania kwartalnika wśród znajomych i przyjaciół oraz nadsyłania uwag, opinii i propozycji dotyczących jego zawartości.

* Artykuły zawarte w *Podlaskim Kwartalniku Kulturalnym* są własnością ich autorów. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za ich treść merytoryczną.

*Redakcja*

***Jadwiga Mizińska***
(Lublin)

# Światłość i kreska: o malarstwie Stanisława Baja (nieuczenie)

1.

Matka i Bug. Najbliższy Człowiek i najbliższa sercu Rzeka, to dwa motywy przenikające malarstwo Stanisława Baja, urodzonego w Dołhobrodach, których nazwa bynajmniej nie pochodzi od *długich bród,* ale od *długich brodów*, czyli tych miejsc na rzece w których daje się zanurzyć i brodzić co najwyżej po kolana. Także nazwisko Baj nie wywodzi się wcale od *bajki,* lecz od *beja.* W żyłach artysty mieszają się bowiem dopływy różnych rzek, nie tylko Bugu. Być może są w nich również geny wschodnich najeźdźców, którzy sądząc że zwyciężają, usidlani bywali przez piękne branki, jak w przysłowiu *złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma*. W tym wypadku byłaby to jakaś urodziwa Słowianka. Zatem, już od początku same zagadki, przeczące pochopnej regule „nomen omen". Bo słowa *brody* i *Baj,* choć brzmią swojsko, to ich znaczenie jest egzotyczne i tajemnicze.

Stanisław Baj, urodzony w Dołhoborodach, mimo tego iż pracuje jako profesor Akademii Sztuk Pięknych, tak na prawdę tylko udaje, że mieszka w Warszawie. Bo faktycznie jedynie do niej dojeżdża, gdyż drugą połowę tygodnia spędza w rodzinnym domu, a ściślej mówiąc w stodole. Na jego portretach wrota stodoły bardzo często pełnią rolę tła, choć niekiedy z niego się również wyrywają i wchodzą na pierwszy plan. Jest taki obraz jego Matki, gdzie niby to stoi ona na ich tle, jednak w prześwitach między deskami, z których te wrota zostały zbite. Przenika spoza nich dziwna światłość, jak gdyby to co najważniejsze działo się nie przed, ale w samej stodole. Nie wiadomo też czym jest sama stodoła, od jakiego rdzenia wywodzi się jej nazwa. Wiadomo za to – od Leśmiana, że ona się „stodoli". Kryje w sobie sto ludzkich doli (dól?), bo przecież nie może oznaczać zwykłego stania.

Ta akurat Stodoła ukrywa w sobie pracownię malarską Stanisława, syna Marii. Odkąd opustoszała ze zboża, sieczki i słomy, urządził w niej sobie „pałac letni" (bez piecyka) oraz „pałac zimowy" (z „kozą" do ogrzewania). Porównanie stodoły z pałacem jest w tym wypadku na miejscu, jako że wypełniają ją dzieła sztuki; już ukończone i ledwie zaczęte, na przykład studium

dłoni starej kobiety. Pozawieszane są na ścianach, albo o nie oparte, sąsiadują z bronami, grabiami, młockarnią, wialnią oraz innymi – będącymi już w stanie spoczynku – gospodarczymi sprzętami. Niektóre z nich, jak widły czy kosa,

Na progu, 1995, olej na płótnie, 200 x 300

pojawiają się także na obrazach przedstawiających sąsiadów oraz licznych przyjaciół gościnnego domu Bajów. Wyglądają na nich jak berła, jak symbole władzy nad ziemią, i jej w ciężkim znoju sianymi i zbieranymi płodami.

W takiej oto naturalnej scenerii, towarzyszącej mu od dzieciństwa, podlaski malarz uprawia Sztukę Piękna. Ale nie łatwą, taką co to się przypochlebia widzowi, głaszczącą go po oczach, lecz trudną i bolesną, raniącą wzrok i uciskającą serce. Jego obrazy w pierwszej chwili są tak „przykre" dla płaskich oczu, że kiedy przed laty zobaczyłam je po raz pierwszy na wystawie w Kazimierskim Kolegium Sztuk Plastycznych, po prostu uciekłam. Choć może to raczej one „wypchnęły" mnie na słoneczny i gwarny Rynek, między rojowisko zadowolonych z siebie kolorowych turystów, raczących się pod plastikowymi parasolami piwem, frytkami i pizzą. Franciszek Starowieyski, „urzędujący" wówczas rokrocznie na Rynku, odwracał się od owych obrażających jego gust „plastików" ze wstrętem. Psioczył na rozpięte nad stolikami plastikowe parasole, a na frytki mówił ironicznie: „suszone kartofle". Uważał też, że prawdziwy Kazimierz umiera, zadeptywany przez inwazję agresywnych i pretensjonalnych biznesmenów, przyjeżdżających tutaj głównie po to, by obnosić swoje nowe bogactwo: wykupujących apartamenty w najdroższych pensjonatach, zamawiających dla siebie i swoich weekendowych towarzyszek „romantyczne kolacje" z mrożonym szampanem i – koniecznie! – posypanym na podłodze szlaczkiem z różanych płatków.

Trudne piękno odkrytego przed wojną przez Tadeusza Pruszkowskiego i Marię Kuncewiczową Kazimierza Dolnego, z obrosłymi pokrzywą zdziczałymi sadami i płynącą Grodarzem gnojówką, której kolorami zachwycał się jeden z bohaterów „Dwóch księżyców", też malarz – dziś zostało uznane za coś wstydliwego. Nic dziwnego, że sam „Byk" Starowieyski wolał malować potargane i spróchniale wsiowe wierzby, niż te wygładzone, ulizane i zadeptane widoki, masowo produkowane przez domorosłych „Łazorków" i sprzedawane „weekendowym" amatorom.

Zachowałam się wówczas jak jeden z nich, natknąwszy się na wystawie Baja z czymś zgoła nie bajkowym. To były dwa światy całkiem do siebie nie przystające, odskakujące od siebie z niechęcią. Obrazy Baja przedstawiały całkiem innych ludzi, takich, dla których na kazimierskim deptaku nie znalazłoby się już miejsca – starych, przygiętych ku ziemi, pomarszczonych, bezzębnych. Z powykręcanymi reumatyzmem rękoma, sztywnymi i zgrubiałymi palcami, zaciśniętymi na widłach czy grabiach, albo na grubym kiju, służącym za podporę słabym nogom. Kobiet w ciemnych chustkach – zawiązanych

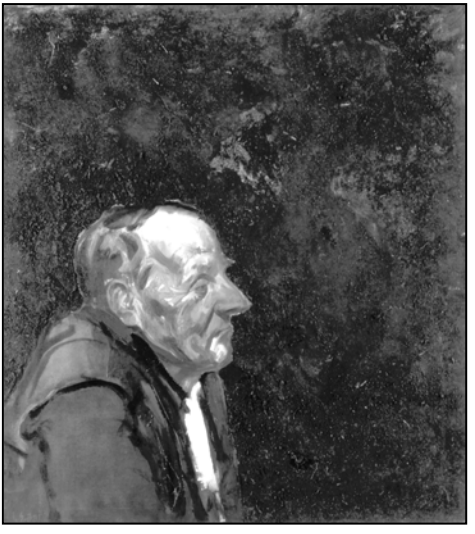

Sąsiad Adam D., 1996, olej na płótnie,

Stasiek W., 1994, olej na płótnie, 120 x 150

pod brodą, chłopów – odzianych w fufajki i obutych w gumofilce. Słowem: dom starców, spracowanych, wyniszczonych, wyłysiałych, z wyblakłymi i zapadłymi oczyma. Jakim prawem wtargnęli oni wszyscy w tamten letni niedzielny poranek do centrum Kazimierza, by psuć nastrój tym, co przyjechali tutaj z odległych stron po to, aby się w ciągu kilkunastu godzin skonsumować pocztówkową urodą widoków z Zamkiem, Basztą i Farą, spacerujących z puszkami piwa, liżących włoskie lody i trzymających pod pachą kogutki od Sa-

rzyńskiego? Z wystrojonymi modnie żonami, wrzeszczącymi i wspinającymi się na wyślizgany pomnik kundla „Kwadrata", który kiedyć codziennie przepływał tu z Janowca na „dyżur" – karmiony przez rynkowych restauratorów, wreszcie z dzieciakami i własnymi rasowymi przyozdobionymi psami?

Matka, 1988, olej, ziemia na płótnie, 81 x 120, Muzeum Południowego Podlasia

Dopiero przy drugim spotkaniu z Bajem i jego „Starcami", na urządzonym w 2013 r. przez redakcję „Akcentu" wernisażu w holu „Radia Lublin", gdzie nie było owego rynkowego blichtru i nie było też łatwej ucieczki ze sporego grona zgromadzonych tam gości, te same portrety zdołały do mnie przemówić. Ale wciąż osobno: portrety Matki oraz portrety Rzeki. Te pierwsze, Matki Marii, przypomniały mi moją Babcię Władzię. Ona także przykrywała siwy koczek chuściną; czarną, „niebrudliwą" – po domu, białą – przeciw słońcu, na pole we żniwa, gdy po śmierci Dziadzia Stacha szła sama z kosą w pole, chora i bezsilna. Ale co było robić, skoro żytko już się sypało z podkulonych kłosów. Nigdy nie narzekała, co najwyżej obwijała sobie przeguby dłoni rzemykami, żeby mniej bolały przy robocie. Zapewne szanując ją, za hart ducha i dzielność, przychodziła czasami do mojej Babci Matka Boska. Stawała pod otwartym oknem, w krzaku starego bzu … i rozmawiały sobie jak dwie zmęczone gospodynie, co zostały bez mężczyzn w domu i musiały wziąć całe gospodarstwa na swoje głowiny. Babcia lubiła zdrabniać zwykłe słowa, a więc, dzieciowiny, kaczkowiny, a nawet chłopiny. W Bajowej Matce rozpoznałam znienacka swoją Babcię. Te same wyschnięte i żylaste dłonie, powykręcane, gruzłowate palce, pobrużdżona twarz i podobne jasne oczy. Choć oczy,

niezupełnie! Babcia Władzia miała szare; patrzyły one żywo i bystro, bo musiały też ogarnąć liczne rodziny dwóch córek – Heli i Jasi, ze wszystkimi ich kłopotami i troskami. Oczy Marii, portretowanej przez jej syna przez kilkanaście lat, zmieniały się wraz z mijającym czasem. Najpierw tam, gdy stała przed wrotami stodoły w strojnej kwiecistej sukience, trzymając w ręku bukiet ziół, bezpośrednio po ich poświęceniu w kościele na Matkę Boską Zielną. Wpatrzone były w ten świat, zainteresowane nim i zatroskane. Stopniowo, wraz z tym, jak szarzały jej suknie, by na koniec ustąpić cieplejszym spodniom, gdy zamiast stać przysiadała na stołku, albo i na pieńku, oczy Marii, wciąż intensywnie niebieskie, jęły umykać wzrokowi widza. Wpatrywały się teraz w coraz to odleglejszą dal, już raczej nie z tego, a z tamtego świata, by na sam koniec w ogóle się zamknąć, zniknąć pod powiekami. Bo na ostatnim portrecie Maria to już nie Maria, ale jej zastygła pośmiertna maska. Ta ostatnia twarz, na którą my patrzymy, lecz ona już na nas nie, to najbardziej wstrząsający obraz namalowany przez „okrutnie" prawdomównego syna. Gdy pokazałam go w albumie mojej przyjaciółce Ewie, ta aż krzyknęła z oburzenia: *Jak można malować własną matkę tuż po śmierci!* Przyznam, że i ja byłam zgorszona. Ale tylko do czasu, dopóki wraz z Ewą nie wróciłyśmy do wcześniejszych portretów i dopóki ona nie dostrzegła pod wrotami aureoli światła u jej stóp. Ach, więc to tak! Syn już z góry wiedział (i widział), że śmierć nie istnieje, że jest ona jedynie wrotami do tego Miejsca, z którego już przedtem sączyło się światło. I że nie było to zwyczajne światło, ale światłość wiekuista, która przenika Stamtąd – tu. Nie ma śmierci, nie ma starości, nie ma brzydoty starości. Jest Miłość, która pozwala przedrzeć się przez te wszystkie pozory i maski. Spłynąć z Matki na Syna, i z Syna na Matkę, który uczynił jej ikonę.

Powiadają, że ikonę ustanawia nie ten, kto ją pisze, lecz ten, kto w namalowanym obliczu dostrzeże i odczuje świętość i światłość, gdy poczuje na sobie wzrok przedstawionego oblicza. Żeby jednak ikonę napisać, trzeba mieć utalentowany wzrok, taki, który przenikając zwiędłą i zużytą ziemską powłokę potrafi przez nią dostrzec coś, co się z niej z ulgą wyzwoliło – duszę. Jest to dane jedynie w nią wierzącym, m.in. kapłanom, którzy okadzając na katafalku trumnę, przed jej wyniesieniem na cmentarz, modlą się słowami w których martwe już ciało nazwane zostaje „naczyniem Ducha Świętego", a także takim poetom, jak Zbigniew Herbert, co zauważalne w wierszu *Pan Cogito obserwuje zmarłego przyjaciela*:

Upaniszady pocieszały
Kiedy mowa jego
Wejdzie w myśl
Myśli w oddech
Oddech w żar
Żar w najwyższe bóstwo

Stanisław Baj nie uląkł się śmierci Matki. Wpatrując się w jej oczy, gdy cierpliwie przez dziesięciolecia pozowała mu do portretów, dobrze widział jak stopniowo ich kolor się zmienia – z niebieskiego w niebiański.

2.

Ale jak się uporać z tym ponurym zakrętem Bugu, malowanym zgaszonymi, przyciemnionymi kolorami, bynajmniej nie „malowniczymi"? Dwa wysokie posępne brzegi w oddali, a między nimi granatowo-szaro-zielonkawa Rzeka, tyle że raz po raz przecinana w poprzek nieco jaśniejszymi kreskami. Dlaczego przedstawiana aż tyle razy, a przy tym wciąż z tego samego punktu widzenia, z tego samego miejsca? A nade wszystko jak się ma ta Bugowa obsesja Baja do jego uporczywego wpatrywania się, najpierw w gasnące, a potem rozbłyskujące innym światłem oblicze Matki? W pierwszej chwili, na widok licznych obrazów zakola Rzeki, nasuwają się żałosne słowa zapomnianej już piosenki:

Samotny stoję nad Bugiem
I patrzę na drugi brzeg.
Wiatr wieje tu zimnym rankiem
A w oczy sypie się śnieg.
Jak smutno stać nad tą rzeką,
Co rozdzieliła kraj nasz…
I choć nie jesteś daleko,
Do ciebie nie puszcza straż.

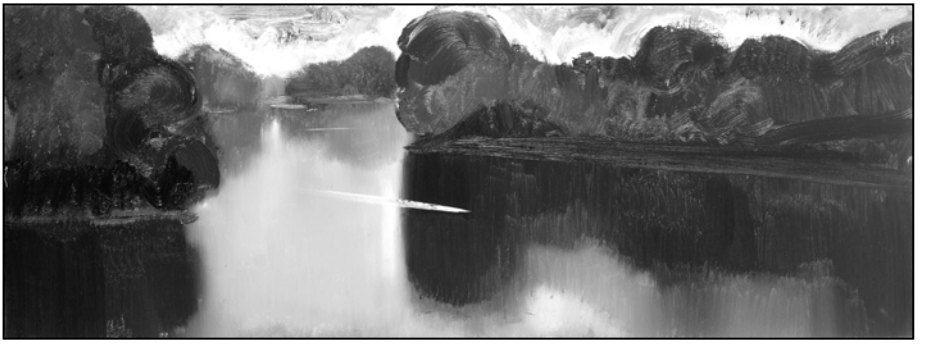

Rzeka Bug, 2008, olej na płótnie, 44 x 120

Nie! Ten trop nie jest dobry! Stara, tęskna piosenka, śpiewana w młodości z przyjaciółmi, na stromym nadbużańskim brzegu w Różance, gdy Marian Pudełko kończył rzeźbienie pomnika poległych partyzantów, nadając mu

kształt ogromnego dębowego liścia z przestrzelonym sercem, opiewała ból kochanków rozłączonych granicą. Brutalną i nonsensowną, bo biegnącą niewidzialnie nie wzdłuż, lecz pośrodku rzeki. W gęstych krzakach po radzieckiej stronie kryli się pogranicznicy, którzy strzelali nawet do polskich „nieuświadomionych" gęsi, czy kaczek. Brzegi rozdarte politycznym gestem, wyciągały do siebie bezradne ramiona. Tęskniły do siebie, jednocześnie wiedząc, że to beznadziejne. Tymczasem na obrazach Stanisława Baja to nie one są głównymi bohaterami. Pozostają pokornie w cieniu, by uwypuklić coś całkiem innego. Prawdziwą bohaterką jest jaśniejsza od wody kreska, położona na rzece w poprzek nurtu, na wodzie, choć nie jest pewne czy przynależy do samej wody, czy raczej do światła rzucanego skądinąd. Tak mnie ona zafrapowała, że zapytałam o nią samego artystę. Zamiast odpowiedzi zawiózł mnie wraz z Iwoną i Łukaszem, już o zmroku, w to Miejsce, z którego tylekroć usiłował uchwycić ją okiem i pędzlem. Zanim tam dotarliśmy, najpierw samochodem, a potem pieszo zdjąwszy buty, po sporej łasze sypkiego piasku, kazał nam przystanąć i posłuchać lasu. Właśnie wszedł księżyc … i mimo pozornej ciszy Stanisław zwrócił nam uwagę, że w istocie jest ona pełna głosów, Głosów życia, miłości i śmierci. Gdzieś ryczały łosie, zakochane w łaniach, poszczekiwały lisy, zwołując się na polowanie, trzeszczały przydeptywane gałęzie, a piasek pod naszymi bosymi stopami sucho szeleścił. Znad wody dopływał zapach wodnej mięty, tej z wiersza Tuwima.

Ptasznik., 1992, olej na płótnie,150x120

Wonna mięta nad wodą pachniała,
Kołysały się kępy sitowia,
Wiatr różowiał i woda wiała,
Wiatr sitowie i kępy owiał.
Nie wiedziałem wtedy, że te zioła,
Będą w wierszach słowami po latach.
Że to kwiaty i zioła po imieniu przywołam,
Zamiast leżeć zwyczajnie na kwiatach.

Oto przekleństwo artysty: nie wystarczy mu, jak normalnemu człowiekowi, przyjmować i zachwycać się pięknem stworzonego świata; on je musi

potem po swojemu odtworzyć, ponazywać zioła, kwiaty, wonie, ludzkie twarze – wszystko co przemija z czasem, by pod (nad ?) tym wszystkim dostrzec i uchwycić coś, co nie przemija i trwa już wiecznie.

3.

Dopiero trochę później, gdy nieco przywykliśmy do przedwieczornej szarówki, nasz gospodarz pozwolił nam własnymi oczyma przypatrzeć się rzece. Rzeczywiście, na jej granatowej, ruchliwej powierzchni, rysowały się w oddali poprzeczne jasne kreski. Ale kto je tam umieścił? I po co? Przekreślały nurt Rzeki, jak gdyby ramionami prawosławnego krzyża. Były złudzeniem, czy realnością? Odbiciem księżycowego światła, czy odblaskiem jakiejś innej światłości? Widoczne dopiero po zmierzchu, gdy gaśnie blask słońca, który zalewa ziemię taką jasnością, że ślepniemy na wszelkie inne źródła oświecenia.

Nie doczekałam się od Malarza odpowiedzi, czego on tak uporczywie szuka w tej grze ciemności zmierzchu, wydobywającej owe jasne, poprzeczne kreski na Rzece. Co mu ona miała wyjaśnić? Co przekreślić, albo może podkreślić? Powiedział tylko, że musi ją malować dotąd, dopóki nie zdoła jej prawdziwie uchwycić i oddać na płótnie.

4.

Dopiero po powrocie do domu, gdy bez pośpiechu uważnie przeglądałam raz jeszcze albumy, doznałam olśnienia. Rzeka i Matka nie były zestawione i nie przeplatały się ze sobą przypadkowo. One były jak dwie siostry, zrodzone z tych samych żywiołów: stałego i płynnego. Czas przepływał przez Matkę ku wieczności. Rzeka, na odwrót niż w pieśni Czesława Niemena, płynęła jak czas. Tylko brzegi, i to co na brzegach, niewiele się zmieniało. Ziemia łaskawie utworzyła koryto dla wiecznego przypływu wody. Woda życia, woda dająca Życie i je odbierająca, była „z tej ziemi". Ale na tej wodzie kładło się światło nie z tej ziemi. W postaci poblasku, który ujawniał się dopiero po ciemku, w tych miejscach, gdzie prąd Bugu załamywał się na jakichś podskórnych uskokach podłoża. A wtedy jasna kreska dzieliła nurt Rzeki na to, co jest przed nią, i to co jest za nią. Pierwsze ludzie nazywają „życiem", drugie – „śmiercią". Artysta, wpatrzony w tę „granicę", nieustanie dąży do tego by ją „przyłapać na gorącym uczynku", uchwycić, namalować, przytwierdzić pędzlem do określonego stałego miejsca. Ale ona stale mu się wymyka, to się pojawia, to przesuwa i niknie. Bawi się z nim? A może zmęczonemu poszukiwaniem chce dać do zrozumienia, że ona jest samą migotliwością? Podobnie jak światło w Stodole, najpierw wnikające do środka, a następnie stamtąd

na zewnątrz przenikające? Bo może ostatecznie wszystko jest Wszystkim i – we wszystkim? Życie – śmierć, Śmierć – życie. Matka jak Rzeka, rzeka jak Matka.

Matka, jak Herbertowska Maria Doświadczona, zmarła i dawno pogrzebana. Zgasły jej najpierw chabrowo-niebieskie, a potem wybladłe oczy. Ale czy na pewno znikły? Jeśli tak, to skąd takie same u jej córki Kazi, a siostry Stanisława, która smażyła nam na kolację racuchy i podawała je – w tej samej matczynej kuchni – z domowymi powidłami? A czyimiż to oczyma wpatruje się w kreskę na Bugu sam Stanisław? Łukasz, który lubi wpatrywać się w słowa i nimi się bawić, zapytał mnie kiedyś: *jak daleko od Bugu do Boga*? A bo ja wiem? Może tę odległość wyznaczamy sobie sami, każdy inaczej. Ci, co mają dobry wzrok – jak nasz Gospodarz – szybciej, my, niedowidzący albo zgoła ślepi, później … albo wcale.

Stanisław Baj, fot. Antoni Wróblewski.

Już po napisaniu tych pełnych wątpliwości słów obejrzałam raz jeszcze drugi, mniejszy z albumów. Na jego okładce, w reprodukcji jeszcze jednego z Bajowych Bugów, widniała odpowiedź. Ciemna powierzchnia wody zalana została powodzią białego światła, istnym jego wodospadem, wylewającym się z jasnej chmury. Przy czym, było ono tego samego koloru, co rozwiązana, opływająca głowę Marii, chusta. Spływała na ramiona i okalała całą postać. Kreska krzyżująca rzekę rozpłynęła się teraz w aureolę, już nie pod stopami, ale nad jej głową.

Wolno malować martwą wodę i martwą Matkę, gdy wierzy się, i wie, o jej wniebowstąpieniu, do którego przykłada się własnej, synowskiej, utalentowanej ręki. Kto nie wierzy w nieśmiertelność i wniebowstąpienie, zapewniane nam przez Stwórcę świata, do tego może przemówić idea filozofa Andrzeja Nowickiego, głosząca „w dzieło wstąpienie". Unieśmiertelniając w swoich obrazach Matkę, zapewne o tym w ogóle nie myśląc, Stanisław unieśmiertelnił i siebie. Swoją do niej miłość, od śmierci silniejszą.

## 5.

Stanisław Baj nigdy dotąd nie poznał osobiście Henryka Kozaka, lubelskiego poety, który też nigdy chyba nie był w Dołhoborodach. Urodzony na Podlasiu, właściwie jakby nigdy tej ziemi nie opuszczał. Niemal we wszystkich wierszach powraca do krainy dzieciństwa, snując nieprzerwaną

„balladę o przemijaniu", przemawiającą nie tylko do polskich, ale także do rumuńskich czytelników. A jako że niektóre z nowopowstałych przesyła mi jeszcze ciepłe, ze zdumieniem przeczytałam tytuł jednego z nich „Dołhobrody", z dedykacją dla Stanisława Baja:

Dołhoborody

*p. prof. Stanisławowi Bajowi*

Pożniwna niedziela
Koniec sierpnia

Spokojne wiejskie popołudnie
Powoli
Osuwa się w chłodny
Mglisty wieczór

Na nadbużańskich błoniach
Sejmikują bociany
A na elektrycznych drutach
Kilkadziesiąt brzegówek
Coś paple po jaskółczemu

Pewnie omawiają plan odlotu
Z zimnego kraju

Za rzeką płacze białoruska harmonia
Pogranicznika

Tak było
Żal że trzydzieści lat temu

Czy ci artyści nie są aby nieznającymi się bliźniakami, czującymi jednak swoją obecność na odległość. Odbierającymi te same, niedostępne nam widoki, wsłuchującymi się w te same niesłyszalne Głosy?

I jak tu nie wierzyć w cuda …

Reprodukcje obrazów*:*
*Agata i Erazm Ciołkowie*

***Adam Panasiuk***
(Samowicze)

# Zagadka kamiennych figur ze wsi Neple i Woskrzenice Duże[1]

Niniejszy artykuł dotyczy dwóch figur kamiennych, znajdujących się na północnych krańcach województwa lubelskiego, w pobliżu Bugu i Krzny, a także otaczających je stanowisk archeologicznych. Pierwsza z nich zlokalizowana jest w Neplach, druga w Woskrzenicach Dużych, w odległości ok. 20 km od siebie[2]. Problematyka istnienia owych obiektów nie była w dotychczasowej historiografii dokładnie omówiona, bowiem dało się odnotować jedynie kilka artykułów w prasie regionalnej. Tadeusz Wróblewski określił te figury mianem krzyży pokutnych, wskazując na analogiczne obiekty na Śląsku[3]. Natomiast Lech Ścibor-Rylski nie potrafił jednoznacznie określić ich przeznaczenia[4]. Również Krzysztof Aleksandruk i Janusz Tarasiuk (nie zajmują się profesjonalnie historią) nie są zgodni co do genezy wspomnianych obiektów[5]. Ostrożnie do zagadnienia podszedł archeolog Jerzy Głosik, twierdząc, że figury z Nepli i Woskrzenic, traktowane współcześnie jako krzyże przydrożne, mogły dawniej pełnić inne funkcje. Badacz wskazuje na ich podobieństwo do innych zabytków, znanych choćby z terenu Mazur[6].

## „Kamienna baba" z Nepli

Figura zlokalizowana jest na lekkim wzniesieniu, ok. 1 km na północny zachód od zabudowań wsi Neple i Starzynka. Obok zabytku znajduje się żwi-

[1] Artykuł powstał na podstawie pracy licencjackiej pt. Problematyka kamiennych wyobrażeń bóstw pogańskich w dorzeczu Bugu i Narwi, napisanej na seminarium *Historia średniowiecza* u dra P. Plisieckiego w 2013 r.

[2] Neple leżą w regionie o walorach turystycznych – istnieje tam Park Krajobrazowy „Podlaski Przełom Bugu", natomiast Woskrzenice Duże znajdują się przy trasie drogowej Terespol – Biała Podlaska.

[3] T. Wróblewski, „Kamienne baby" – temat nadal pasjonujący, *Słowo Podlasia* 1985, nr 14, s. 9.

[4] L. Ścibor-Rylski, Baby czy krzyże?, *Słowo Podlasia* 1985, nr 23, s. 9; tenże, Tajemnice podlaskich kamieni, Słowo Podlasia 1986, nr 33, s. 8.

[5] K. Aleksandruk, J. Tarasiuk, O podlaskich „Kamiennych babach", *Goniec Terespolski* 2001, nr 57, s. 14 n.

[6] J. Głosik, Pan do baby?, *Z Otchłani Wieków* 1985, nr 51, z. 1-2, s. 90 n.

rownia.[7] Prowadzi do niego polna droga gruntowa, odbijająca w prawo od szosy prowadzącej do Mokran Starych. Dalej, na północny zachód, wiedzie droga w kierunku Janowa Podlaskiego. W linii prostej od rzeki granicznej Bug dzieli figurę ok. 1 - 1,5 km (patrz: mapa 3).

Obiekt ma kształt krzyża o wysokości ok. 1,5 m. Wykonano go z czerwonego granitu polodowcowego[8]. Figurą tą zainteresowali się: wspomniany wyżej J. Głosik oraz nie żyjący już proboszcz parafii Neple – ks. Zdzisław Oziembło[9]. W prywatnych zbiorach ks. Z. Oziembły znajdowały się wykonane niegdyś fotografie tej figury. Widział je J. Głosik: *w parafii zdjęcia tego krzyża wykonane przed laty, na których wyraźnie widać wyrzeźbione korale, tworzące wspomniany naszyjnik na piersiach kamiennej postaci, także zarys ręki trzymającej róg do picia*[10]. Opierając się na tym stwierdził, że nie jest to klasyczny krzyż kamienny. Swoje twierdzenie argumentował m.in. proporcjami figury: ramiona są zbyt krótkie w stosunku do szerokości całej sylwetki (zob. aneks: fot. nr 1). Na powierzchni figury widocznych jest wiele wgłębień, rytych kresek, tworzących ciągłe nieczytelne linie. Uderzające jest zróżnicowanie obróbki, tzn. wyraźnie widoczne „podcięcie" elementów poziomych „ramion" oraz wygładzone ramiona, jak gdyby rzeźbiarz chciał wyodrębnić je z całości. Według J. Głosika wykonane to zostało najprawdopodobniej z użyciem nowocześniejszej techniki rzeźbiarskiej[11].

Warto w tym kontekście wspomnieć o występujących w najbliższej okolicy stanowiskach archeologicznych. Być może mają one jakiś związek z opisywanymi przeze mnie zabytkami, jednak na obecną chwilę trudno wysuwać jakiekolwiek hipotezy (zob. aneks: mapa 2; zestawienie stanowisk archeologicznych wokół obu zabytków).

W miejscowości Neple znajdują się dwa stanowiska archeologiczne; zlokalizowane są w odległości ok. 1,5 - 2 km na południowy wschód od zabytku. Pierwsze z nich, to obozowisko z paleolitu schyłkowego, mezolitu, neolitu i prawdopodobnie epoki brązu (kultury trzcinieckiej). Na terenie tym znaleziono sporo krzemieni[12]. Drugie stanowisko, to prawdopodobnie osada kultury łużyckiej. Jego zasobność, to 12 krzemieni z czasów mezolitu i epoki

---

[7] Aktualnie nieużytkowana. Teren na którym znajduje się zabytek jest obecnie objęty prawną ochroną.

[8] K. Aleksandruk, J. Tarasiuk, dz. cyt., s. 15 (autorzy powołują się na J. Głosika).

[9] Zmarł w 2010 r., w wieku 91 lat. Amatorsko zajmował się historią regionalną, wydał m. in. książkę: „Neple i okolice", Biała Podlaska 2001.

[10] J. Głosik, dz. cyt., s. 89 (według moich informacji zdjęcia te zaginęły)

[11] Tamże, s. 87.

[12] S. Żółkowski, Materiały do badań nad osadnictwem pradziejowym i wczesnośredniowiecznym na obszarze dzisiejszego województwa bialskopodlaskiego, Biała Podlaska 1988, s. 77.

ka-mienia, a także niedokładnie wypalony fragment ceramiki o nieznanej chro-nologii[13].

W odległości ok. 2,5 km na północny zachód od wspominanej „kamiennaj baby", w miejscowości Krzyczew, przypuszczalnie zlokalizowane było wczesnośredniowieczne cmentarzysko. Miejscowi ludzie nazywają je „Kurhankami". Położone jest 150 m od wsi (na zachód), 100 m na południe od szosy Krzyczew – Bohukały. Do naszych czasów nic się po nim nie zachowało, lecz przed 1883 r. znajdowały się tam dwie duże mogiły[14]. Warto również dodać, że ok. 5 km na południowy zachód od opisywanego obiektu, we wsi Malowa Góra, zlokalizowane zostały trzy stanowiska archeologiczne: cmentarzysko ciałopalne kultury łużyckiej (31 szczątków ceramiki, 2 krzemienie), cmentarzysko ciałopalne z wczesnego i środkowego okresu lateńskiego (siedem szczątków ceramiki) oraz stanowisko ze śladami osadnictwa wczesnośredniowiecznego (2 szczątki ceramiki). Stanowiska leżą nieopodal rzeki Piaśnicy, na wzniesieniu przy szosie Terespol – Janów Podlaski (poniżej wsi). Niestety, w 1984 r. wskutek wydobywania piasku zostały ono zniszczone[15]. Także w odległości ok. 3 km na południowy wschód od obiektu, we wsi Kuzawka, natrafiono na ślady osadnictwa – prawdopodobnie z epoki kamienia i brązu. Znajdowało się tam kilka odłupków krzemiennych oraz resztki ceramiki[16].

W mieście Terespol, w oddaleniu ok. 10 km na południowy wschód od Nepli (dawna wieś Błotków; obecnie dzielnica miasta), zlokalizowano dwa stanowiska. Pierwsze z nich, to cmentarzysko kultury pomorskiej z wczesnej epoki żelaza. Znaleziono tam groby z kamienną obstawą i nakryciami w postaci kamiennych płyt, popielnice z przepalonymi kośćmi, resztki broni, metalowe pierścienie oraz czarny kamień w kształcie sześcianu. Stanowisko położone było *ćwierć mili od Terespola, a nieco bliżej wsi Błotkowa, na kilkudziesięciomorgowej wydmie, którą przecina trakt Terespol – Kodeń.* Miejsce to już od 1875 r. niszczało. W 1983 r. wskutek budowy szosy oraz domów mieszkalnych uległo całkowitemu zniszczeniu[17]. Drugie z w/w stanowisk, to grupa obozowisk z mezolitu, późnego neolitu, epoki kamienia i brązu. Znaleziono w nim ponad 80 krzemieni. Według relacji z 1898 r. znajdowały się one blisko wsi, na piaszczystych pagórkach. Przez teren ten, w odległości ok. 1,6

---

13 Tamże, s 77.

14 Tamże, s. 65 (stanowisko zostało zarejestrowane przed 1883 r.; przypadkiem znaleziono tam dwa ludzkie szkielety).

15 S. Żółkowski, s. 71 n.

16 Tamże, s. 67.

17 Tamże, s. 28.

km od Terespola, przebiegała prowadząca do fortu nr 6 szosa (obecnie tzw. „Prochownia"; lokalne muzeum)[18].

W odległości ok. 20 km na południe od Nepli, przy drodze do Kodnia, zlokalizowano dwa stanowiska. Pierwsze z nich, to obozowisko z mezolitu, późnego neolitu i wczesnej epoki brązu (ponad 20 krzemieni), natomiast drugie, to ślady osadnictwa starożytnego. Stanowiska te leżą ok. 200 m na południowy wschód od wsi Dobratycze, na szerokiej wydmie o powierzchni ok. 0,5 ha (materiał archeologiczny skupiony w trzech punktach, o powierzchni 1 - 2 ara każdy)[19]. Dalej na południe położona jest wieś Kostomłoty (ok. 25 km na południe od Nepli), w której znajduje się siedem stanowisk. Pierwsze z nich obejmuje dwa obozowiska: z epoki kamienia – wczesnej epoki brązu (ponad 100 krzemieni) oraz z późnego neolitu – wczesnej epoki brązu lub późniejszej (kilka bądź kilkanaście krzemiennych grocików z trzonkami, prawdopodobnie 3 toporki kamienne). Kolejne stanowiska archeologiczne, to trzy cmentarzyska. Pierwsze datowane jest na epokę brązu (urny z przepalonymi kośćmi, szczątki bransolety, żelazne żużle); drugie, prawdopodobne kultury przeworskiej (brązowa fibula); trzecie, to wczesnośredniowieczne szkieletowe, rzędowe z XI wieku (czaszka i kilka ludzkich kości, żelazny grot oszczepu, fragmenty kolczugi żelaznej i trochę ozdób). Czwarte stanowisko, to osada wczesnośredniowieczna, zlokalizowana na wydmie o powierzchni ok. 10 ha. Położona jest kilkaset metrów od rzeki Bug, a miejsce to zwyczajowo nazywane jest „Borkiem".[20] Kilka innych stanowisk pochodzi prawdopodobnie z epoki kamienia (ludzkie kości, skorupy popielnic, gruzy i ociosane krzemienie)[21.]. Kolejne stanowisko, to ślady neolitycznego osadnictwa (buława kamienna), natomiast ostatnie jest wczesnośredniowiecznym skarbem monet[22].

W odległości ok. 30 km od nepelskiej „kamiennej baby" znajduje się miejscowość Kodeń – z pięcioma stanowiskami. Pierwsze pochodzi z neolitu (kamienna siekiera i krzemienny grot), drugie należy do kultury łużyckiej (dwa gliniane naczynia i krzemienny sierp), trzecie, to kultura przeworska (gliniane naczynie), czwarte, to cmentarzysko o nieznanej bliżej chronologii, zaś piąte, z nieokreślonymi śladami osadnictwa (5 szczątków ceramiki)[23].

## Figura w Woskrzenicach Dużych

[18] Tamże, s. 29.
[19] Tamże, s. 35 n.
[20] S. Żółkowski, s. 61.
[21] Tamże, s. 62 (wg informacji z 1876 r. stanowiska oddalone są od siebie o ok. 1 km)
[22] Tamże, s. 62 n.
[23] Tamże, s. 57 n.

Kolejna z w/w figur znajduje się w Woskrzenicach Dużych, w linii prostej ok. 20 km na zachód od nepelskiej „kamiennej baby", w odległości ok. 0,7 km od szosy Biała Podlaska – Terespol (zob. aneksy: mapa 4). Ok. 1 km od tego miejsca płynie rzeka Krzna. Pierwotnie obiekt znajdował się na jednym z okolicznych wzniesień, jednak w latach międzywojennych rządca majątku Aleksander Grzywnowicz przewiózł figurę do parku. Następnie została porzucona pod płotem[24]. W latach 80. XX w. znajdowała się na skraju bazy Rolniczego Ośrodka Postępu Technicznego w Woskrzenicach[25].

Posąg ten, o wysokości ok. 1,4 m, przypomina kształtem (określenie Głosika) zarówno postać kobiecą, jak i krzyż (zob. aneksy: fot. 2). Tylna część tej figury posiada formę przypominającą zaokrąglone ramiona. Z przodu, powyżej tego elementu, na wysokości czoła, jest wyraźnie zarysowana lekko wygięta linia. Mniej więcej na tym samym poziomie, patrząc z boku, można zauważyć wypukłości przypominające uszy. Poniżej czołowej linii daje się zauważyć schematycznie wyrytą sylwetkę ludzką. Po jej obu stronach, mniej więcej na wysokości głowy, widoczne są wyryte lekko pochyłe (wygięte) kreski (z lewej strony trzy krótsze, z prawej dwie dłuższe – nachylone w stronę tejże sylwetki). Poniżej ramion figury, na środku, zaznaczona (wyryta) jest bliżej nieokreślona kropka. Posąg stoi z lekkim pochyleniem do przodu.

Także woskrzenicką figurą zainteresował się Jerzy Głosik. Zauważył on, że przypomina człowieka z krótkimi skrzyżowanymi rękoma oraz wyróżniającą się wielką czapą na głowie. Trudno określić, czy dwa zagłębienia położone blisko siebie, na środku „twarzy", to oczy. Podobnie jest z „nosem" i „ustami"[26]. W odległości kilkunastu metrów od figury stoi pionowo ustawiony kamień, z wyrytym na nim znakiem krzyża, wpisanym w trójkąt. Pierwotnie rzeźba ta znajdowała się w ziemi. Nie wiadomo, czy obie figury mają ze sobą jakiś związek. Podobnie jak w przypadku nepelskiej, także i tutaj nie sposób pominąć znajdujące się w okolicy stanowiska archeologicze. Ich prezentacja może pomóc w zrozumieniu dawniejszych funkcji tego obiektu (zob. mapa 2).

W odległości ok. 7-8 km na północny wschód od Woskrzenic znajduje się stanowisko archeologiczne we wsi Koczukówka. Odkryto tam jedną osadę neolityczną (m.in. 3 drapacze, 1 łuszczeń, 3 skrobacze i inne) oraz siedem śladów osadnictwa. Pierwszy pochodzi z paleolitu schyłkowego (1 rylec klinowaty), drugi wywodzi się z kultury trzcinieckiej (4 szczątki ceramiki), trzeci z kultury łużyckiej (9 szczątków ceramiki). Pochodzenie czwartego łączy się z domniemaną kulturą miłoradzką (pół przęślika glinianego). Piąty datowany jest na wczesne średniowiecze – ok. XII-XIII w. (13 szczątków ceramiki),

[24] L. Ścibor-Rylski, dz. cyt., s. 9.
[25] J. Głosik, dz. cyt., s. 90.
[26] J. Głosik, dz. cyt., s. 90.

szósty na późne średniowiecze lub czasy nowożytne (5 szczątków ceramiki), siódmy, to ślady o nieokreślonej chronologii – prawdopodobnie pochodzące ze starożytności lub wczesnego średniowiecza (18 szczątków ceramiki). Całość rozmieszczona była na obszarze ok. 5 ha[27].

Ok. 4-5 km na północny zachód od Woskrzenic, w kompleksie leśnym Kniejówka, prawdopodobnie znajduje się kurhan, być może należący do kultury łużyckiej. W okolicy znaleziono tam szczątki ceramiki oraz unikatowy płaszcz kamienny, w dwóch grupkach[28]. Dalej, w odległości ok. 9-10 km na północny wschód, we wsi Kijowiec, znajduje się domniemane cmentarzysko z epoki kamienia lub brązu. Odkryto tam fragmenty zbroi o bliżej nieokreślonej chronologii. Według informacji z 1883 r. stanowisko to znajdowało się się na gruntach tamtejszego folwarku, przypuszczalnie w miejscu o nazwie „Kurhanki" (wymienione w *Słowniku Geograficznym*, T. IV, 1883). Miejscowa ludność nie zna obecnie tej nazwy[29].

W oddaleniu ok. 10 km na zachód od woskrzenickiej figury, w Białej Podlaskiej (miasto powiatowe), odkryto wierzch kamiennej buławy ze spłaszczoną kulą i otworem. Znalezisko to pochodzi prawdopodobnie z neolitu[30] . W odległości ok. 14 - 15 km na południowy wschód od Woskrzenic Dużych, we wsi Piszczac, znaleziono kamienne narzędzie (prawdopodobnie osełkę), pochodzące być może ze środkowego neolitu.[31] W odległości ok. 10 - 11 km na południe, we wsi Dokudów, na łąkach między rzeczkami Żarnica i Zielawa, odkryto wczesnośredniowieczne grodzisko z XII wieku, a w nim resztki ceramiki. Co ciekawe, obok grodziska ujawniono także wczesnośredniowieczną osadę o powierzchni ok. 6 - 7 ha[32]. W odległości ok. 15 km na wschód, we wsi Dobryń Duży, zarejestrowano 5 stanowisk archeologicznych: 3 cmentarzyska wczesnośredniowieczne, jedno grodzisko wczesnośredniowieczne, jeden ślad starożytnego osadnictwa oraz obozowisko – prawdopodobnie ze schyłkowego paleolitu lub neolitu (kilkanaście narzędzi krzemiennych). Pierwsze z cmentarzysk pochodzi z IX - XII w. (szczątki naczyń, przepalone kości), drugie datuje się na VI - X w., co do trzeciego, trudno jest określić dokładną chronologię[33].

## Charakterystyka nepelskiej i woskrzenickiej figury

27 S. Żółkowski, dz. cyt., s. 56 n.
28 Tamże, s. 56.
29 S. Żółkowski, s. 53.
30 Tamże, s. 28.
31 Tamże, s. 83.
32 Tamże, s. 38 n.
33 Tamże, s. 36-38.

Warto tutaj przypomnieć, jakie cechy wyróżniały klasyczny krzyż pokutny oraz porównać to z dwoma wyżej wymienionymi zabytkami. Krzyż pokutny stawiany był jako jedna z form zadośćuczynienia rodzinie zamordowanego (przez zabójcę) – w miejscu popełnienia przestępstwa. Na krzyżach tych rzadko występowały opisy popełnionego czynu, natomiast bardzo często umieszczano znak narzędzia zbrodni (łuk, miecz, kusza, widły, itp.), co zasadniczo odróżniało tego rodzaju figury od krzyży granicznych, kultowych, kommemoratywnych. Krzyże pokutne stawiane były głównie w XII - XVI w., kiedy sądownictwo nie było jeszcze dobrze rozwinięte. W późniejszym okresie stopniowo zanikały. Występowały głównie w Polsce (na Dolnym Śląsku), na Łużycach, w Saksonii, Czechach, Słowacji oraz na terenach dawnej Jugosławii. Wykonywano je z granitu lub piaskowca[34]. W zależności od występującego w okolicy surowca zdarzało się, że do wykucia wykorzystywano głazy narzutowe. Wielkość zależała w dużym stopniu od miejsca ich położenia. Im znajdowały się bliżej ówczesnych miejsc wydobycia kamienia, tym były większe. Ich wysokość wahała się między 30 cm a 2 m. Jak już zostało powiedziane, nie rzadko na krzyżach pokutnych występowały zarysy narzędzi, którymi dokonano przestępstwa. Z biegiem czasu, szczególnie na figurach wykonanych z piaskowca, wizerunki te zacierały się. Zdarzały się także przypadki późniejszego rycia napisów, który przesłaniały wcześniejsze symbole – narzędzia zbrodni[35] .

Zauważyć można kilka różnic w wyglądzie krzyży ze Śląska, a figurą z Nepli. Otóż, podlaska figura posiada rozszerzającą się dolną część sylwetki, natomiast krawędzie „ramion" i „głowy" są względem siebie równoległe. Jak w przypadku większości krzyży pokutnych „ramiona" te są nieproporcjonalne w stosunku do „głowy". Brak również jakichkolwiek śladów wizerunku narzędzia zbrodni oraz napisów, chociaż i na Śląsku nie na wszystkich krzyżach występowały.

Woskrzenicką figurę od śląskich krzyży pokutnych odróżnia kilka cech. Pierwsza, to zarysowana na głowie „wielka czapa". Druga, to schematycznie wyryta sylwetka człowieka z rozstawionymi nogami i uniesionymi w górę rękoma, znajdująca się mniej więcej na wysokości „ramion" figury. Trzecia, to zaznaczone po obu stronach „głowy" wypukłości (na poziomie czapy). Prawdopodobnie twórca chciał zaznaczyć w ten sposób uszy. Te trzy atrybuty na ogół nie występują na krzyżach pokutnych. Interesujący jest również stosunek długości „ramion" do pozostałej części sylwetki.

## Figury w tradycji miejscowej

[34] W. Maisel, Archeologia prawna Europy, Warszawa-Poznań 1989, s. 182.

[35] J. Milka, Kamienne pomniki średniowiecznego prawa, Wrocław 1968, b. n. s.

Wśród ludzi zamieszkujących okolice Nepli żywa jest legenda o „kamiennej babie". O woskrzenickiej nic nie mówi jakiekolwiek podanie ludowe. Warto w tym miejscu przytoczyć treść wspomnianej wyżej legendy, opisanej w książce ks. Zdzisława Oziembły[36]. Otóż, pewna dziewczyna zakochała się w chłopcu i na przekór swoim rodzicom postanowiła wyjść za niego za mąż. Zasmucona i zapłakana matka próbowała ją za wszelką cenę przekonać do zmiany decyzji. Dziewczyna jednak nic sobie z tego nie robiła. Wtedy zagniewana matka rzekła: *Bodajbyś skamieniała, nim dojdziesz do kościoła!* Stało się więc tak, jak chciała matka. Gdy orszak weselny zmierzał do kościoła pannie młodej kilkakrotnie wypadła z dłoni chusteczka. Za pierwszym razem podniósł ją drużba, za drugim druhna, natomiast za trzecim razem sama panna młoda. I w tym momencie zamieniła się w kamień. Według miejscowych ludzi przed I wojną światową na figurze widoczne były ślady twarzy oraz korali (na szyi). Co roku kamień pochyla się coraz bardziej, a gdy się zwali, zakończy się pokuta przeklętej przez matkę dziewczyny[37].

Warto bliżej przyjrzeć się tej legendzie. Występuje tu motyw przekleństwa, skutecznego i nieodwołalnego, oraz nieposłuszeństwo dziecka. Enigmatyczna jest tu rola spadającej trzykrotnie chusteczki i podnoszenia jej przez drużbów oraz pannę młodą.

***

Omawiane przeze mnie figury sprawiają wiele trudności badawczych. Pomimo nasuwających się w pierwszym momencie skojarzeń ze śląskimi krzyżami pokutnymi nie można ich kwalifikować do grupy świadectw prawa średniowiecznego. Lokalizacja obiektu na wzgórzu może sugerować kultowy charakter figury z Nepli. Ze względu na brak dostatecznych źródeł nie można jednak dokładnie sprecyzować jej przeznaczenia. Figura z Woskrzenic Dużych wyraźnie różni się od typowych krzyży pokutnych, choćby ze względu na schematyczny symbol ludzkiej sylwetki, wyryty poniżej ramion posągu, a także celowe zaznaczenie cech antropomorficznych (uszy, czapa?). Skłaniałbym się do zakwalifikowania jej do grupy obiektów kultowych. Tak samo jak w przypadku figury z Nepli brak jest jednak dostatecznych dowodów.

Ciekawym elementem związanym z tą tematyką jest legenda, tłumacząca skąd się wzięła nepelska „kamienna baba". Przewija się tu popularny motyw klątwy matki. Ludność miejscowa, nie mogąc zrozumieć skąd pochodzi ta figura, zapewne wymyśliła tą opowieść.

W okolicy owych dwóch kamiennych zabytków odkryto szereg stanowisk archeologicznych – z różnych epok. Dokładna analiza ich zawartości być może pomogłaby w rozwikłaniu zagadki figur. Część tych stanowisk

[36] Z. Oziembło, Neple i okolice, Biała Podlaska 2001, s. 28.
[37] Z. Oziembło, dz. cyt., s. 28.

bezpowrotnie przepadła, co w znacznym stopniu utrudni przyszłe badania nad ich „powiązaniem" z „kamiennymi babami" Warto tu wspomnieć o bliskim sąsiedztwie nepelskiej „baby" z wczesnośredniowiecznym cmentarzyskiem Krzyczewa. Miejsce to nazywane jest przez tutejszych mieszkańców „Kurhanki". Czyżby nepelska figura miała jakiś szczególny związek z tym cmentarzyskiem?

Jak wielokrotnie było podkreślane, występuje potrzeba wieloletnich dokładnych badań, ponieważ po wielu stanowiskach archeologicznych nie pozostało śladu (np. niszczejące kurhany). Należy też zauważyć, że liczba archeologicznych publikacji naukowych dotyczących tej części Polski w pradziejach i wczesnym średniowieczu jest niewielka. Opisywany tutaj obszar posiada wysokie walory turystyczne (Park Krajobrazowy „Podlaski Przełom Bugu"). Dokładniejsze rozpoznanie w/w obiektów zabytkowych mogłoby przyciągnąć w te strony kolejne grupy turystów (mam tu na myśli ewentualne utworzenie parku archeologicznego). Pozostaje żywić nadzieję, że w niedalekiej przyszłości znajdą się osoby, które wypełnią występujące w tym zakresie luki.

Przedruk z „Ibidem" (czasop. Koła Naukowego
Historyków Studentów KUL), T.10 (2014)

## Aneks

Mapa 1. Położenie omawianego obszaru na mapie Polski.

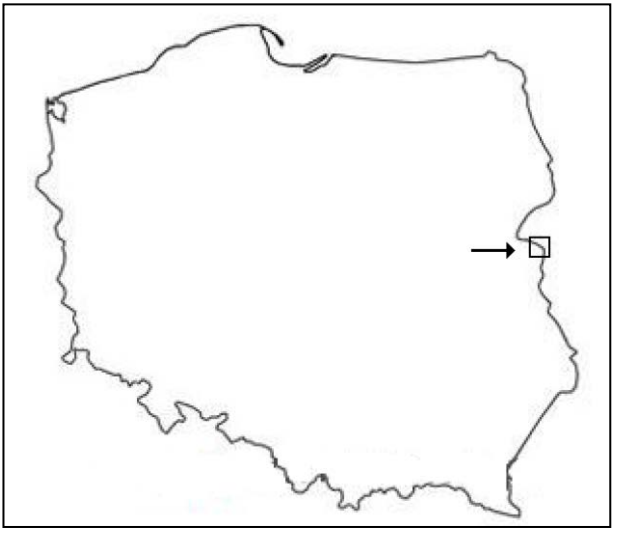

Mapa 2. Położenie figur i stanowiska archeologiczne w najbliższej okolicy.

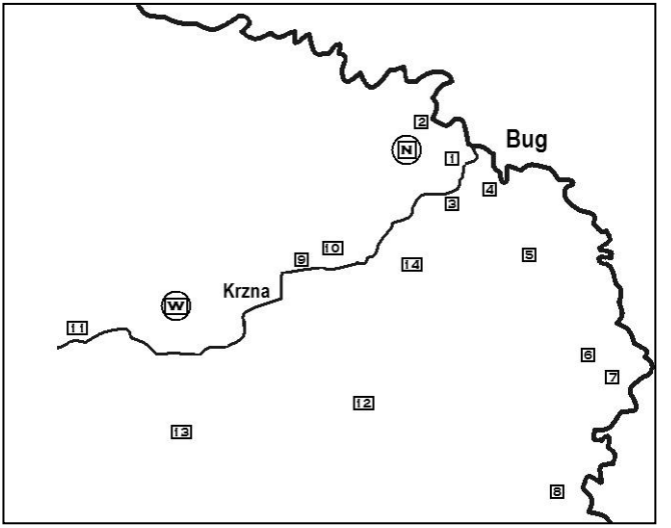


Legenda: N (Neple), W (Woskrzenice Duże) – położenie omawianych figur. Cyfry oznaczają wymienione w tekście stanowiska archeologiczne: 1. Neple, 2. Krzyczew, 3. Malowa Góra, 4. Kuzawka, 5. Terespol, 6. Dobratycze, 7. Kostomłoty, 8. Kodeń, 9. Koczókówka, 10. Kijowiec, 11. Biała Podlaska, 12. Piszczac, 13. Dokudów, 14. Dobryń Duży.

Fot. 1. Figura z Nepli. (ze zbiorów autora; obwódka wokół figury narysowana w celu podkreślenia kształtu)

Mapa 3. Lokalizacja „Kamiennej baby” z Nepli
(usytuowanie obiektu zaznaczone kółkiem i strzałką)

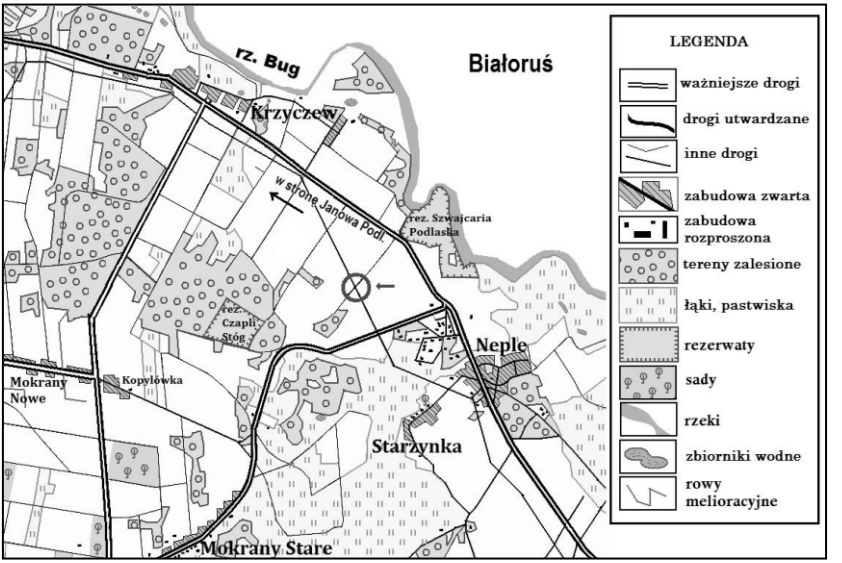


Fot 2. Figura z Woskrzenic Dużych z towarzyszącym głazem

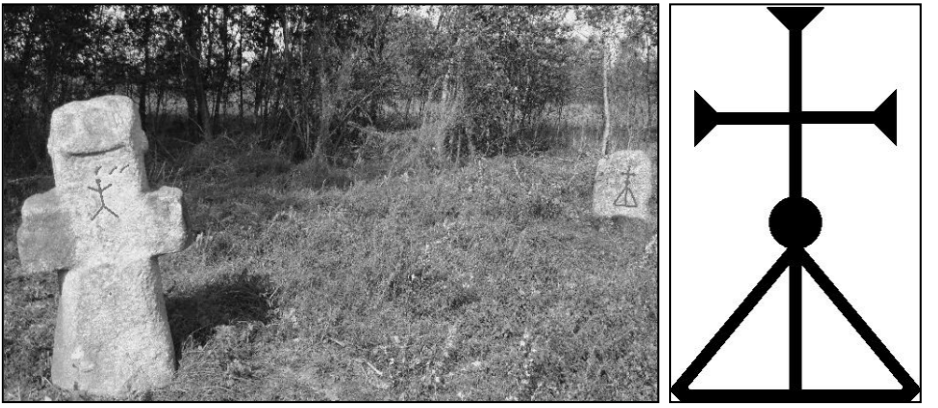

Fotografia pochodzi ze zbiorów własnych autora. Ciemniejsze linie na figurach mają na celu podkreślenia wyrytych symboli. Obok zdjęcia grafika przedstawiająca symbol wyryty na głazie.

Mapa 4. Lokalizacja figury z Woskrzenic Dużych.
(położenie figury zaznaczone kółkiem i strzałką)

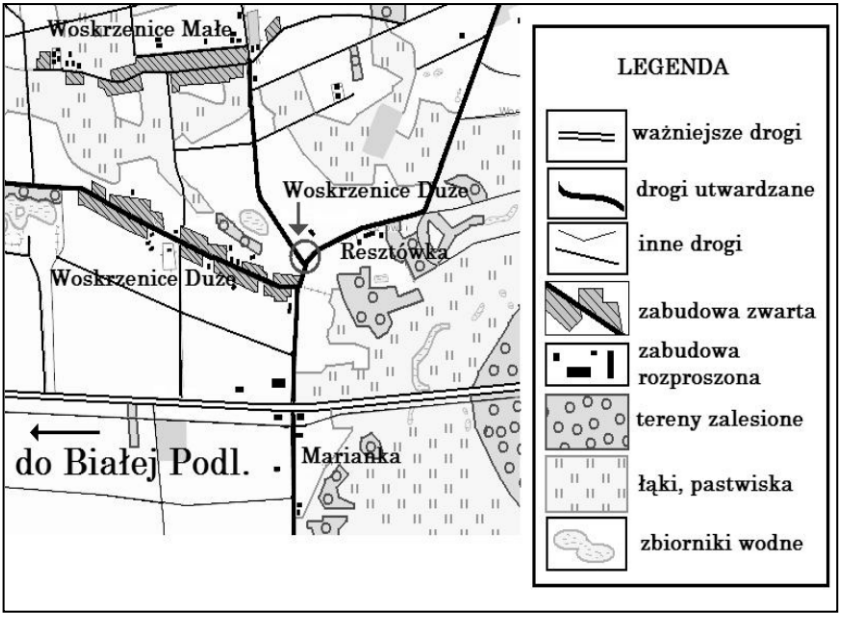

***Józef Kościuk***
(1917 – 2006)

# Moje wspomnienia z lat wojny

Mając ukończone 75 lat, a i z powodu braku jakiegokolwiek zajęcia, podjąłem decyzję by opisać moje przeżycia, począwszy od lat młodzieńczych, tj. od sześciu-siedmiu. Właśnie od tych lat powinienem wszystko pamiętać.

Od urodzenia do 20 roku życia mieszkałem we wsi Swory, pow. Biała Podlaska. W pierwszym roku mojego życia zmarła mi na tyfus matka. Było to w 1918 r. Zostało nas dwoje, ja i starsza o 3 lata siostra, która już nie żyje. Zostaliśmy więc sierotami. Z opowiadań ojca pamiętam, że były to lata bardzo trudne – okres Rewolucji Październikowej oraz pierwsze lata po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Ojciec często wspominał, że za panowania cara życie było łatwiejsze aniżeli w wolnej Polsce. W kraju brak było żywności, ubrań, obuwia. W gospodarstwach rolnych każdy siał len. Nasiona przeznaczano na olej, a z włókna wyrabiano płótna – domowym sposobem tkania (na krosnach). Następnie szyto z tego ubrania, bieliznę, pościel. Nie było pieniędzy na kupno gotowego.

Kiedy w 1924 r. zacząłem uczęszczać do szkoły, to nie miałem tornistra, tylko z kawałka płótna uszytą torbę (na trokach). Nosiłem w niej tabliczkę oraz rysik. Nie było zeszytów i ołówków, to i uczyliśmy się pisać rysikiem na tych tabliczkach. Dopiero w trzeciej klasie pojawiły się zeszyty, ołówki, atrament i obsadki. Jednego razu pisząc w zeszycie zrobiłem kleksa, za co otrzymałem od nauczycielki uderzenie w policzek. Na ręku miała gruby pierścionek, to i od tego uderzenia spuchło mi pod okiem. Ale więcej już kleksów nie robiłem. Jak ktoś podczas lekcji źle się zachowywał, albo nie odrobił lekcji, to za karę musiał klęczeć na grochu pod piecem. Stosowana też była kara chłosty pasem – po gołym tyłku – oraz bicie linijką po dłoni. Nauka w szkole przebiegała mi dość dobrze – pisałem bezbłędnie, lubiłem dużo czytać, wypożyczałem różne książki. Po ukończeniu siódmej klasy chciałem uczyć się w gimnazjum w Białej Podlaskiej. Mój wujek był tam profesorem. Ojciec jednak nie pozwolił, ponieważ nie było komu w polu robić.

W 1932 r. była komasacja gruntów. Ojciec otrzymał 20 ha, z czego 18 ha nieużytków i pastwisk, a jedynie 2 ha gruntów ornych. Pastwiska i nieużytki trzeba było końmi wyorywać, by je przeznaczyć na cele uprawne. Praca ta

była bardzo uciążliwa, gdyż znajdowały się tam duże kępy oraz jałowce. Przy wytężonej pracy udało się z tych nieużytków zrobić pole uprawne, liczące 9 ha. Wspomnę jeszcze o ciekawym wydarzeniu z moich dziecinnych lat. Idąc do szkoły – zawsze szło nas kilku – zwykle wstępowaliśmy do Żyda po bułki (nazywał się Ajzyk; miał chyba trójkę dzieci). Bułka kosztowała 5 gr. Tego dnia także weszliśmy, lecz Żyd nie chciał nam ich sprzedać, ponieważ się modlił. Miał przywiązanego na czole bożka i bez przerwy się kiwał, coś tam też mamrotał po żydowsku. Zażądaliśmy bułek, lecz Ajzyk nie zareagował. Dalej się kiwał. Sami więc wzięliśmy z koszyka te bułki, nie płacąc, i wyszliśmy. W tym czasie dzieci Ajzyka zaczęły krzyczeć, że ukradziono im bułki. Stary Żyd dalej się kiwał, jakby go to wcale nie obchodziło; ważniejsza dla niego była modlitwa, aniżeli bułki.

Jeszcze jedno ciekawe wydarzenie z dziecinnych moich lat zapamiętałem. W Sworach była cerkiew, gdyż mieszkało w tej wsi kilka rodzin prawosławnych. Pop mieszkał w odległości około ½ km od cerkwi. Jak szedł do cerkwi, czy z cerkwi, to my małe chłopaki – siedmio-ośmioletnie – wołaliśmy za nim: *Hospodi pomyłuj zjedła koszka łój, a pop za nieju z hołownieju*. W 1924 r. z polecenia władz polskich cerkiew została zburzona. My, chłopaki, braliśmy także w tym udział. Najpierw wynosiliśmy figury świętych i wszystkie inne rzeczy cerkiewne. Świątynia była drewniana, miała wysoką wieżę. Za tę wieżę uczepiona została długa lina i za nią wszyscy ciągnęliśmy. Wieża i cały dach zostały od razu zburzone, pozostały tylko ściany. Drewno ze ścian przeznaczone zostało na budowę szkoły, która w krótkim czasie została wzniesiona. Figury oraz ikony cerkiewne umieszczono w kościele katolickim, oddalonym o pół kilometra. Obowiązkiem każdego z nas było w każdą niedzielę i święta być w kościele. Zbiórka miała miejsce w szkole, gdzie sprawdzano obecność, po czym parami szliśmy do kościoła. To tyle co do lat dziecinnych .

Od szesnastego roku życia pracowałem wraz z ojcem na gospodarstwie Wyorywaliśmy pastwiska oraz nieużytki, przeznaczając je na pola uprawne. Przy tej pracy były duże trudności. Konie męczyły się bardzo szybko, ponieważ były kępy, a i tak twardo, że ledwie mogły pług uciągnąć. Młodzieńcze lata spędzałem dość dobrze. Należałem do chóru kościelnego. Zbieraliśmy się na organistówce – chłopcy i dziewczęta, organista uczył nas śpiewać pieśni religijne, które w każdą niedzielę i święta śpiewaliśmy w kościele. Prądu i światła nie było, stąd organy grały poprzez tak zwane kalikowanie. Wchodziło się na odstające urządzenie, po czym, aby mogły grać, trzeba było na dół naciskać nogami. Mając 18 - 19 lat należałem do organizacji Strzelec. To było tak zwane przysposobienie wojskowe. Uczono nas musztry wojskowej, strzelania, wykonywaliśmy też inne ćwiczenia. Zaliczałem je pomyślnie.

I oto nadszedł rok 1939. 11 stycznia powołany zostałem do wojska – w Brześciu n/Bugiem. Ojciec zawiózł mnie saniami do Białej Podlaskiej,

Grupa dziewcząt ze Swór.
Fot. ok.1938 r.

Antoni Kościuk (brat Józefa)
Fot. ok.1938 r.

Męski chór parafialny w Sworach. Fot. ok. 1938 r.

a dalej pojechałem pociągiem. W Brześciu na stacji czekały na nas zaprzężone w konie sanie. Było nas kilkunastu. Zawiezieni zastaliśmy do koszar Twierdzy Brzeskiej. Otrzymałem przydział do kompani łączności 9 Dywizji Piechoty, do plutonu radiotelegrafistów. Jego dowódcą był Piotr Michniuk, natomiast dowódcą kompani łączności porucznik Henryk Lewandowski. Początkowo ćwiczenia odbywały się na placu przed koszarami. Były one bardzo męczące, m.in. tak zwana szermierka pól, czy przysiad. Austriackie karabiny z bagnetami nie były lekkie. Niektórzy nie wytrzymywali tych ćwiczeń i mdleli. Ćwiczenia zawsze prowadził plutonowy P. Michniuk. Po takich ćwiczeniach byliśmy okropnie wyczerpani. Mówiliśmy między sobą, że podczas wojny, za to, że nas tak gnębi, może zginąć od swoich żołnierzy. Umiejętność szermierki w czasie wojny okazała się nieprzydatna.

Po upływie miesiąca było już łatwiej. Uczyliśmy się w świetlicy alfabetu morsa – na ręcznych brzęczkach. Nie sprawiała mi nauka większych trudności, to i dość szybko nauczyłem się wystukiwania liter. Przechodziliśmy też ćwiczenia w terenie – na radiostacjach. Radiostacja było to urządzenie na wysokich kołach, z żelaznymi obręczami i wysokim masztem, w środku z aparatem nadawczo – odbiorczym. Siłę pociągową stanowiły konie. Radiostacje obsługiwały trzy osoby: l) woźnica, 2) prądnicowy (przy nadawaniu kręcił nogami, napędzając tym sposobem prądnicę), 3) radiotelegrafista (nadawał i odbierał meldunki). Jako najzdolniejszy zawsze byłem przy aparacie. Łączność utrzymywaliśmy z innymi jednostkami oraz samolotami. Ćwiczenia przebiegały sprawnie. Wspomnę jeszcze bardzo ważne wydarzenie. Było to pod koniec lutego. Wskutek odwilży na gliniastych polach zalegało okropne błoto. Około godziny 12 w nocy wszyscy już spaliśmy na pryczach, gdyż naraz włączono światło. Usłyszeliśmy, że właśnie teraz prowadzona jest inspekcja nocna. Był to szef kompanii – starszy sierżant, który postanowił sprawdzić czy nie ma kurzu na karabinach, czy są równo ustawione. Po jakimś czasie stwierdził, że jeden z karabinów stoi nieprawidłowo, stąd zarządził alarm. Było nas na sali około 15 żołnierzy. W ciągu 2 minut trzeba było wrzucić na siebie ubranie i w pełnym rynsztunku stawić się na placu. A wtedy sierżant wydał rozkaz: *Przez most na Bugu, w pole, biegiem marsz!* Po jego przekroczeniu posypały się rozkazy: *padnij, powstań*. Trwało to około pół godziny. Umorusani, upaprani w błocie, powróciliśmy w końcu do koszar. Natychmiast trzeba było brać się za czyszczenie ubrania, pranie, suszenie, ażeby na porannym apelu umundurowanie było w należytym porządku. Postanowiliśmy, że podczas wojny zemścimy się na naszym sierżancie. No i niewiele trzeba było czekać.

Taki oto przypadek wydarzył się, już podczas działań wojennych. Było to w trzecim, albo w czwartym dniu kampanii wrześniowej. Byliśmy rozbici … i w okrążeniu. Maszerowaliśmy na pomoc tym, którzy walczyli w Borach Tucholskich. W czasie marszu zauważyłem siedzących na ziemi kilku żołnierzy. Był wśród nich nasz sierżant. Poznał mnie; prosił aby dać mu wody do

picia, bo mdleje z pragnienia. Wtedy przypomniałem mu, co nam urządzał podczas alarmu nocnego w Brześciu. Zaczął przepraszać, mówić, że to jego wina. Prosił jednak, abym ulitował się i dał mu trochę wody. Miałem jej trochę w manierce, to i z litości podzieliłem się.

Pod koniec marca 1939 r. na terenach wschodnich ogłoszona została mobilizacja. Zanosiło się na wojnę z Niemcami. Wykwaterowano nas z koszar do pobliskich wiosek, a miejsca w koszarach zajmowali rezerwiści. W kwietniu część 9 dywizji przerzucono do Siedlec. Byliśmy tam około trzech tygodni. W maju dostaliśmy rozkaz wyjazdu na Pomorze. Załadowaliśmy więc na wagony cały sprzęt bojowy, tabory, konie, radiostację i dojechaliśmy do Torunia. W Toruniu wszystko wyładowano. Rozmieszczeni wówczas zostaliśmy w różnych miejscowościach przygranicznych. Ja znalazłem się przy dowództwie, a więc w Koronowie. Pluton nasz ulokowany został na obrzeżu miasteczka, przy parku, w stodole jakiegoś Niemca. Była też z nami kuchnia polowa. Ćwiczeń mieliśmy bardzo mało, przeważnie wysyłano nas na służbę wartowniczą.

Brześć n/B – brama wjazdowa do fortecy

W miesiącu czerwcu przyjechał na inspekcję gen. Rydz Smigły. Stał na podwyższeniu, przemawiał do żołnierzy, mówił o zbliżającej się wojnie. Przypadło mi w tym czasie trzymanie przy nim warty. Dzień był pogodny, upalny. Wartę trzymaliśmy we dwóch. Staliśmy na baczność, z karabinami „na prezentuj broń", chyba przez pól godziny. Było to bardzo męczące. Pot spływał mi po twarzy, momentami myślałem, że nie wytrzymam i zemdleję. W sierpniu przetransportowano nas bliżej granicy. Stacjonowaliśmy w majątku nie-

mieckim. Kwatery znajdowały się w stodole. Mieliśmy ze sobą jedną radiostację konną, tak zwaną biedkę.

W nocy z 31 na l-go września, o godz. 4 rano, ogłoszono alarm. Na placu stanął dowódca kompani por. H. Lewandowski, który w krótkim przemówieniu ogłosił, że rozpoczęła się wojna. Wszyscy od razu skierowani zostaliśmy na swoje stanowiska, z poleceniem wykonywania rozkazów przełożonych. Mnie przypadła obsługa radiostacji. Niemieckie pociski przelatywały nad nami, spadając na wioskę oddaloną o 3 km, gdzie mieściło się główne dowództwo. Siedząc w radiostacji odebrałem m.in. meldunek (nie alfabetem morsa, lecz słowny), że 34 pułk piechoty żąda natychmiastowej pomocy, ponieważ front został przerwany i bardzo groźnie atakują Niemcy. Było to około godziny 8 rano. Natychmiast zanotowałem jego treść na skrawku papieru i pobiegłem szukać dowódcy. Zauważyłem, że major siedzi przy płocie, to i złożyłem mu meldunek. Odpowiedział jednak, że sprawa jest beznadziejna, gdyż brak jest jakiegokolwiek połączenia. W tej sytuacji musieli walczyć na własną rękę. Z radiostacji chciałem odpowiedzieć jak się przedstawia sytuacja, lecz nie było już żadnego połączenia. Słychać było tylko gwizdy, trzaski i nic więcej. W nocy właściciel majątku (Niemiec) wraz ze swoimi robotnikami gdzieś się wyprowadził. Zostawił wszystko bez opieki, cały dobytek. Groziło nam okrążenie, więc szykowaliśmy się do opuszczenie tego miejsca. W oborze ryczało bydło. W końcu urwał się byk, wpadł na podwórze i zaatakował żołnierzy, o mało nie przewrócił radiostacji. Zaczęliśmy do niego strzelać, to i został ubity. Kiedy wyjeżdżaliśmy pierwsze pociski już na nas spadały. Dwa z nich rozerwały się przy samej radiostacji, lecz poszarpana została jedynie plandeka. Od tej chwili zaczęła się już prawdziwa epopeja wojenna. Aż do wieczora wycofywaliśmy się, pod ciągłym obstrzałem artylerii wroga. Atakowani byliśmy ze wszystkich stron. W nocy odpoczynek, a rano dalsze wycofywanie się – w kierunku na Bydgoszcz.

Na przygranicznych terenach zachodnich (na Pomorzu) rozlokowana była 9 dywizja oraz 27 dywizja (Wołyńska). Z wielkim trudem dotarliśmy do głównej szosy, prowadzącej do Bydgoszczy. Nie zdawaliśmy sobie jednak sprawy, że jesteśmy już w okrążeniu. Po kilkunastu minutach marszu nadleciały niemieckie samoloty i zaczęły bombardowanie naszych pozycji. Przestrzeń była otwarta, to i nie było gdzie się skryć. Wyskoczyliśmy z radiostacji i ukryliśmy się w rzędach ziemniaków. Zacząłem strzelać z karabinu do samolotu. Nie zdjąłem jednak bagnetu, który błyszczał w słońcu. Pilot to zauważył, gdyż po chwili zawrócił, obniżył lot i zaczął pruć z karabinu maszynowego po tym terenie. Na szczęście cała seria przeszła obok. Drugi raz już nie atakował, dzięki czemu wyszedłem z opresji cało. Pozostali koledzy z naszej radiostacji także byli nietknięci. Pobojowisko po bombardowaniu wyglądało strasznie: jęki rannych, roztrzaskane tabory, wielu żołnierzy zabitych.

Mapa ze zbiorów Polish Institute and Sikorski Muzeum w Londynie

Nasze konie (od radiostacji) podczas bombardowania zawróciły, jednak daleko nie uciekły, gdyż zaczepiły się o drzewo. Nic im się nie stało, a i radiostacja nie ucierpiała. Wsiedliśmy wszyscy do radiostacji i zdecydowaliśmy, że jedziemy w kierunku Warszawy. Z jednego z opuszczonych mieszkań wzięliśmy gąsior soku wiśniowego (około 5 litrów), aby zaspokoić pragnienie podczas dalszej podróży. Nie byliśmy jednak świadomi tego, że przed nami oraz po bokach szosy są już Niemcy. Naraz usłyszeliśmy strzał z pocisku artyleryjskiego. Pocisk uderzył tuż przed przerażonymi końmi, które od razu zawróciły. Zeskoczyliśmy z radiostacji, chwytając w ostatniej chwili nasze karabiny. Trzech rzuciło się na prawą stronę szosy, ja schroniłem się po lewej. W tym momencie padł drugi strzał, tuż obok mnie. Zasypany zostałem ziemią. Szybko wsunąłem się jednak do wyrwy po pocisku. Nie byłem ranny. Kiedy robiłem skok na prawą stronę szosy usłyszałem kolejny wybuch pocisku. Szczęście mi znowu dopisało, gdyż nie odniosłem żadnych obrażeń. Po drugiej stronie czekali na mnie koledzy. Zaczęliśmy zastanawiać się co robić dalej. Nic innego, tylko wycofywać się. W odległości około połowy kilometra zauważyliśmy nasze konie z radiostacją. Tym razem zostały z niej strzępy. Szkoda było tylko tego soku, którego nawet nie spróbowaliśmy. Pozostało nas razem czterech żołnierzy.

Postanowiliśmy kierować się na rzekę Brdę. Zastaliśmy tam dużo naszych wojsk. Ci co umieli pływać przedostawali się na drugą stronę rzeki wpław. Ja, jak i moi koledzy, nie umieliśmy pływać. Szczęście nas jednak nie opuszczało, bowiem żołnierzy przewożono również łódką. Zauważyłem, że przeprawą kierował dowódca kompani łączności 9 Dywizji por. H. Lewandowski. Na przewiezienie czekało kilkudziesięciu żołnierzy, a do łódki mogło się zmieścić jedynie 5 osób. Gdy przybiła do brzegu zrobił się wielki tłok. Zacząłem więc wołać do porucznika, że jest nas pięciu z plutonu łączności. Usłyszał wołanie, poznał mnie. Wydał żołnierzom rozkaz, aby nas przepuścili. Tym sposobem szczęśliwie dostaliśmy się na drugą stronę Brdy. Po tej stronie rzeki teren nie był jeszcze zajęty przez Niemców. Zebrało się tutaj znaczne zgrupowanie wojsk polskich, wcześniej rozbitych przez Niemców. Przemówił do nas jakiś dowódca, prawdopodobnie pułkownik Józef Werobej. Mówił, że jesteśmy w okrążeniu, z którego za wszelką cenę musimy się wyrwać. Po krótkim odpoczynku dostaliśmy rozkaz wyruszenia na pomoc walczącym w Borach Tucholskich.

W Borach trwały zaciekłe walki. Przechodziliśmy m.in. obok rozbitego niemieckiego czołgu. Było w nim słychać jęki rannego czołgisty. Od tego miejsca zaczęły się straszne boje. W końcu zaatakowaliśmy Niemców, aby wyrwać się z okrążenia. W pierwszym momencie byli zaskoczeni naszym atakiem. Gdy usłyszeli okrzyk bojowy huraaa, przerażeni zaczęli uciekać, porzucając karabiny i hełmy. Okrążyliśmy wówczas i wzięli do niewoli około 50 niemieckich żołnierzy. Odprowadzeni zostali na tyły. Co się z nimi dalej

stało, nie wiem. Walki trwały od wczesnych godzin rannych do godzin popołudniowych. Pomimo wielkiej determinacji naszych żołnierzy okrążenia nie udało się przerwać. Gdy jeńcy zostali odprowadzeni na tyły, zostaliśmy zaatakowani przez niemiecką artylerię ogniem zaporowym. Pociski padały obok pocisku, nie było gdzie się skryć się, wszystko się łamało i fruwało w powietrzu. W popłochu zaczęliśmy się wycofywać. Dużo naszych żołnierzy zostało rannych i zabitych. Brak było możliwości udzielania pomocy rannym. Z dwoma innymi żołnierzami wydostałem się z pobojowiska i obrałem spokojne miejsce na nocny odpoczynek.

Podczas wycofywania się natrafiliśmy na leśną ścieżkę. Wokół słychać było warkot czołgów. W pewnym momencie zauważyłem, że ścieżką z przeciwnej strony idzie dwóch Niemców, z karabinami maszynowymi skierowanymi w naszym kierunku. Jeden z naszych chciał uciekać. Złapałem go więc za kołnierz, lecz wyrwał się. Uciekającego zauważyli Niemcy, w związku z czym zaczęli do niego strzelać. Niestety, został zabity. Zaczęliśmy wycofywać się z tego miejsca, lecz natrafiliśmy na bagna. Kilku z naszych przez nie przeszło, ja natomiast usadowiłem się na brzegu i wlazłem na leszczynę, z zamiarem spokojnego doczekania świtu. Naraz usłyszałem huk pocisku. Przeleciał obok leszczyny, która mocno zatrzęsła się, a ja spadłem w to okropne bagno. Udało mi się jednak z niego wydostać i przeprawić na drugi brzeg. Cały upaprany byłem w błocie. Zacząłem się rozbierać, aby doprowadzić umundurowanie do chociażby częściowego porządku. Z drugiego brzegu obserwowali mnie koledzy. Śmiali się ze mnie, widząc jak wyglądam. Zziębnięci, głodni, spragnieni, doczekaliśmy ranka. Gdy się już dobrze rozwidniło zauważyłem w oddaleniu około 200 metrów łąkę i strumyk. Wysłaliśmy tam jednego z nas; wziął dwie manierki i przyniósł trochę wody. Gdy zaspokoiliśmy pragnienie poczuliśmy dokuczliwy głód. Okazało się, że po drugiej stronie łąki znajdowali się zamaskowani Niemcy, obserwowali więc tego, co brał wodę ze strumyka. Naraz w oddali posłyszeliśmy rozmowy Niemców. Zauważyłem też, że idą w naszą stronę. Natychmiast zarządziłem krycie się. Było nas trzech, jeden od drugiego w odległości około 10 metrów. Ukrywaliśmy się w krzakach. Niemcy przeszli między nami, nic jednak nie zauważyli. Gdyby odkryli, byłby z nami koniec. Szczęśliwie wydostaliśmy się z tej pułapki i skierowaliśmy się w kierunku Westerplatte. Było to 5 - 6 września. Nie dotarliśmy tam jednak, ponieważ wszędzie już grasowali Niemcy.

W jednym miejscu, przy lesie, pasła się krowa. Umiałem doić, to i udoiłem całą manierkę mleka. I wtedy zauważyła mnie właścicielka krowy. Zaczęła się rozmowa między nami. Powiedziała, aby iść do wioski w której mieszka i poddać się Niemcom. Było tam już dużo polskich żołnierzy … i słyszała od Niemców, że wszystkich mają uwolnić i wysłać tam, skąd pochodzą. Było to oczywiście kłamstwo, gdyż wszyscy trafili później do obozów jenieckich. Z dalszej rozmowy wynikło, że po drugiej stronie szosy, z da-

la od głównej trasy, znajduje się duże mieszkanie jednego z gospodarzy, i że można od niego dokładniej się dowiedzieć jak przedstawia się sytuacja z Niemcami, gdyż jest rdzennym Polakiem. Dodała też, że chętnie on nas przyjmie i udzieli cennych wskazówek, że po wielu nieprzespanych nocach będziemy mogli tam wypocząć. Odnaleźliśmy ów dom. Gospodarz ugościł nas; zjedliśmy ciepły posiłek, który bardzo nam smakował. Noc spędziliśmy u niego na strychu. Na drugi dzień gospodarz kazał opuścić nam mieszkanie i ukryć się na polu w stercie słomy, gdyż Niemcy w poszukiwaniu polskich żołnierzy będą na pewno przeszukiwali mieszkania oraz budynki gospodarcze. W stercie słomy spędziliśmy dwa dni, po czym zarządziłem opuszczenie tego miejsca. Zamierzaliśmy przez szosę przedostać się do lasu. Przy szosie rosły ziemniaki, zaczęliśmy więc czołgać się miedzy rządkami. Gdy ruszyliśmy, akurat zza zakrętu wyjechał niemiecki samochód. Niemcy oczywiście od razu nas zauważyli. W tym momencie zarządziłem, by wszyscy podnieśli ręce do góry. Nie było wyjścia, poddaliśmy się.

Niemcy zabrali nas na samochód i zawieźli do miejscowości Nowe Miasto nad Wisłą, koło Gdańska. Trafiliśmy do przejściowego obozu jenieckiego, w którym znajdowało się wielu naszych żołnierzy. Po kilku godzinach Niemcy wyprowadzili nas jednak z obozu. Podczas wychodzenia bili nas kolbami po plecach. Przeprawiono nas łódkami na druga stronę Wisły, gdzie znajdowało się dużo większe zgrupowanie polskich jeńców. Niektórzy nie mieli czapek, mundurów, spodni, bowiem powyrzucali te rzeczy do wody podczas trudnej przeprawy przez Wisłę (wpław). Zarządzono wymarsz w nieznane. Było nas około pięciuset. Przy szosie rosły owocowe drzewa, to i dużo jabłek leżało wzdłuż trasy. Jeśli ktoś z naszych schylił się po jabłko, by złagodzić głód, z miejsca do niego strzelano. Tym sposobem kilku jeńców zginęło. Szliśmy około 3 godziny, zgłodniali i kompletnie wycieńczeni. Doprowadzono nas do jakiejś stacji kolejowej, gdzie stały już podstawione bydlęce wagony. Załadowano nas do nich, bijąc przy okazji kolbami karabinów. W środku było bardzo ciasno i duszno. Wieźli nas całą noc, w kierunku północnym.

Rano, około godziny 9, wyładowano nas i poprowadzono przez nieznane miasto. Był to teren Prus Wschodnich. Stojące na chodniku kobiety i dzieci, także starcy, mieli przygotowane kamienie i cegły. Rzucali nimi w nas. Wyglądało to tak, jak kamienowanie. Kilkudziesięciu jeńców zostało trafionych; bardzo później cierpieli. Za miastem znajdował się duży plac, ogrodzony drutem kolczastym. Po jednej jego stronie ustawione były karabiny maszynowe, przy których stali niemieccy żołnierze. Wprowadzono nas na ten plac. Niektórzy z naszych żołnierzy rozumieli język niemiecki, podsłuchali więc rozmowę wachmanów, z której jakoby wynikało, że mają nas rozstrzelać. Zaczęli już nas nawet ustawić do egzekucji. W tym czasie nadjechał samochód z niemieckimi oficerami. Kiedy wysiedli, po krótkiej rozmowie egzekucję odwołali. Poprowadzono nas dalej, za miasto. W odległości około

3 km od niego ustawione były namioty. Wprowadzono nas do tych namiotów, w których było już pełno ludzi – kobiet, dzieci, starców, księży. Niemcy wysiedlili ich z zajętych ziem polskich. Otrzymaliśmy trochę jedzenia. Była to jakaś polewka. Przedtem, przez kilka dni nic nie jedliśmy.

Po jakimś czasie popędzono nas dalej na północ (Prus Wschodnich). Wycieńczonych całodziennym marszem zatrzymano w końcu na jakimś pastwisku. Stał tam barak dla Niemców, a obok niego był dość duży śmietnik. Znajdowało się w nim sporo śmierdzących odpadów, które miały stanowić nasze pożywienie. Noc była zimna. Spaliśmy po kilku razem, przytuleni do siebie, żeby było cieplej. Następnego dnia, po kilku godzinach marszu trafiliśmy do kolejnego miejsca z namiotami. Było w nich sporo jeńców, znajdowała się również kuchnia polowa. Raz dziennie otrzymywaliśmy gotowaną polewkę, jednak bez chleba. Po zjedzeniu takiej zupy głód odczuwało się jeszcze bardziej. Pewnego razu jeden z naszych jeńców, a był on Żydem, stanął po raz drugi w kolejce po zupę. Ktoś go jednak poskarżył. Natychmiast został zastrzelony. Po upływie kilku dni zaczęto nas rozwozić samochodami na roboty rolne, do pracy w majątku oraz w lesie. Trafiłem do majątku. Było nas razem dwudziestu, z różnych formacji: piechurzy, artylerzyści, kawalerzyści, czołgiści, łącznościowy, jeden z Westerplatte. Bardzo zaprzyjaźniłem się z czterema chłopakami z 27 Dywizji Wołyńskiej (z Ukrainy). Na początku nakarmiono nas do syta. Był to już koniec września. W następnym dniu przydzielono nas do różnych robót polowych, takich jak zbieranie ziemniaków, koszenie i zwózka koniczyny nasiennej. Zakwaterowani byliśmy w drewnianym baraku, bardzo zniszczonym. Spaliśmy na piętrowych pryczach, siennikach wypełnionych słomą, okrywając się jednym bardzo zniszczonym kocem. Pod głowę kładło się mundur i spodnie Była tam również kuchnia oraz komórka. Jeśli ktoś chciał mieć ciepłą wodę, to musiał napalić w kuchni. Nie było jednak czym palić. Wykopywaliśmy więc pnie drzew, co nie było łatwe. Także ich rąbanie wymagało dużego wysiłku. Wyżywienie było bardzo słabe. Na śniadanie „milk zupa". Jej wygląd, a i smak, przypominał pomyje. Była koloru siwego, zasypana otrębami, a na dodatek dawno kawałeczek chleba. Na obiad podawano trochę ziemniaków, polanych jakimś obrzydliwym sosem, a na kolację chleb z czarną kawą. Dwa razy do roku, na Wielkanoc i Boże Narodzenie, otrzymywaliśmy na obiad po dwa kotlety.

Wykonywaliśmy różne prace polowe, magazynowe, podwórzowe, a zimą pracowaliśmy w lesie – przy wycince drzew. Mrozy dochodziły wówczas do - 35°. Jednego razu z wycieńczenia zachciało mi się bardzo spać. Usiadłem więc na pieńku, żeby odpocząć, no i być może zamarznąć na śmierć. Koledzy jednak zauważyli, że mnie nie ma i zaczęli szukać. Gdy odnaleźli, zaczęli rozgrzewać śniegiem, nacierać twarz i ręce. Tym sposobem zostałem uratowany przed zamarznięciem.

Przytoczę jeszcze jedno wydarzenie. Było to zimową porą. Wydobywaliśmy w tym dniu ziemniaki z kopca oraz nosiliśmy je w worku (na plecach) do piwnicy. W drzwiach znajdowała się kłódka, która jednak nie była zamknięta. Zajrzałem więc. Zauważyłem, że jest tam beczka, a w beczce solone mięso. Wziąłem około półtora kilograma, owinąłem w worek, a po wyjściu z piwnicy powiedziałem wachmanowi, że chcę pójść do lasu za własną potrzeba („szajsen machen"). A las był niedaleko, około 200 metrów. W lesie oznaczyłem miejsce w którym ukryłem mięso. Następnym razem wziąłem taką samą porcję. I znowu mówię wachmanowi, że muszę do lasu. Trzymając się za spodnie już pośpieszałem w jego kierunku, kiedy zawołał abym zostawił worek. Udałem jednak, że nie słyszę. W tym samym miejscu schowałem drugą porcję. O zmroku mięso przyniosłem do baraku, ugotowałem, no i każdemu z towarzyszy po kawałeczku się dostało. Trochę więcej zostawiłem dla tych, którzy mieli uciekać .

W lutym 40 - go roku były tak duże mrozy, że rzeki mocno pozamarzały. Jednego razu dwóch naszych postanowiło w nocy uciekać. W ścianie komórki wydłubali dziurę, wzięli mięso i chleb, i sobie poszli. Po dwóch tygodniach zostali jednak przez Niemców złapani, podczas snu w czyjejś stodole. Przywieziono ich w to samo miejsce skąd uciekli. Mieli poodmrażane nogi. Powiedzieli nam, żeby nikt nie próbował ucieczki, że zimą jest to bardzo niebezpieczne, że można zamarznąć na śmierć. Odwiezieni zostali na „krang sztubę" do Gerdanen. Po miesiącu wyleczono ich i dalej z nami pracowali.

Z wyżywieniem było coraz gorzej. W dalszym ciągu kombinowałem. Moim zadaniem było m.in. noszenie mleka z obory. W południe następowała przerwa obiadowa, a wtedy w oborze nie było nikogo. Brałem więc dwie butelki litrowe i od tyłu, przez płot, właziłem do obory. Siadałem pod krowę i doiłem mleko do butelki. Trwało to około 5 minut. Dwie butelki mleka przynosiłem codziennie na sztubę, to i po trochę każdemu się dostawało. Pewnego razu, kiedy zacząłem już doić, usłyszałem, że z drugiego końca obory ktoś wchodzi. Poznałem go, to był właściciel. Wyskoczyłem błyskawicznie spod krowy na korytarz i zacząłem uciekać. On jednak mnie zauważył i zaczął głośno krzyczeć: „Halt main an ich szisen". Byłem już na zakręcie, gdy usłyszałem strzał. Pocisk zagwizdał obok mnie, lecz nie trafił. Przeskoczyłem płot, chyba dwumetrowy, i uciekłem na sztubę. Chłopaki śmieli się ze mnie, że tym razem nic im nie przyniosłem. Więcej po mleko już nie chodziłem, a właściciel nie dowiedział się kto mu podkradał mleko. Przytoczę jeszcze jedno wydarzenie. Było to zimową porą. Zwożone były wówczas buraki – z kopca do obory. Wrzucałem je gablami do obory, a dalej odrzucały dwie Niemki – panny. Jedna z nich, z którą pracowaliśmy wcześniej przy innych pracach polowych, często mnie zaczepiała. A to rzuciła w moim kierunku kamykiem, a to innym przedmiotem. Sprawiało to jej uciechę, a mnie złościło. Widział to również wachman. I właśnie w tym czasie, kiedy wrzucałem bura-

ki do obory, rzuciła we mnie burakiem. Trafiła! I nawet bardzo mnie zabolało. Zdenerwowałem się … i chciałem jej od razu oddać. Zaczęła wówczas krzyczeć, że chcę ją zgwałcić, za co groziła mi kara śmierci. Obronił mnie jednak ów wachman, bowiem stwierdził, że to ona była winna temu zajściu.

Było też jedno tragiczne wydarzenie w sąsiedniej miejscowości. Jakiś Niemiec doniósł do przełożonych, że jeden z naszych kolegów kochał się z Niemką. Było to tylko pomówienie, co potwierdzili nasi koledzy. Został on jednak powieszony. Niemcy zebrali naszych żołnierzy z kilku miejscowości - około 1000 osób – i zaprowadzili pod las. Ustawiona już tam była szubienica. Skazanego przywieźli samochodem. Podczas egzekucji staliśmy dość daleko, okrążeni przez żandarmów. Później wydano nam rozkaz" naprzód marsz. Przechodząc przed powieszonym żołnierzem krzyczeli „kuk mań rechc". To było odrażające. Kto nie mógł na to patrzeć, i odwracał głowę, otrzymywał pejczem razy od żandarma.

Dalszy pobyt w niewoli przebiegał bez zmian. Nie zanosiło się, że będzie lepiej. Z wyżywieniem było coraz gorzej, warunki higieniczne nie do wytrzymania. Jedna koszula byle jaka, a i nie było gdzie jej dobrze wyprać. Po wypraniu trzeba było wynosić na mróz, ażeby powymarzały wszy. Nie odnosiło to jednak żadnego skutku. Po zagrzaniu się znowu na wierzch wychodziły. Jakimś sposobem zdobyliśmy młotki, i młotkami je tłukliśmy. Wychodząc do pracy w zimową porę okręcaliśmy się kocami, pod którymi w nocy spaliśmy. Na nogach mieliśmy drewniaki, które okręcaliśmy szmatami. Zawsze pilnowało nas dwóch wachmanów. Pewnego razu zachorowałem na anginę. Odwieziono mnie do Gerdanen – na krang sztubę. Od razu dostałem jakieś tabletki i kazano mi leżeć. W nocy wjechał do sali wózek, po czym zaczęto zabierać z łóżek umarłych. Kładziono ich po kilku na raz. Trwało to całą noc. Przeląkłem bardzo i rano mówię do lekarza: *ich bin szon gizunt i gieienncu hauze*. Był bardzo tym zdziwiony, ale wypisał mnie i dał na tydzień zwolnienie z pracy. Wracałem „do siebie" pieszo, około 8 km. Gdy dotarłem do gospodarstwa byłem już bardzo zmęczony. Gdybym tam został, to by mnie pewnie uśmiercili, tak jak i tych, co wywozili w nocy. Po tygodniu znowu poszedłem do pracy. Służyłem za fornala, jeździłem w cztery konie. Poganiając je nauczyłem się strzelać z bata, a także jeździć w siodle.

W dalszym ciągu nie było poprawy w jedzeniu, nie było także czym się ogolić. Zarośniętym i wychudłym zrobiono nam zdjęcia. Wygląd był okropny. Nie mam ich, gdzieś zaginęły. W lutym 1941 r. ogłoszono, że kto chce może przejść na robotnika cywilnego. Czterech z nas wyraziło na to zgodę. Zawieziono więc nas do Gerdan, do Arbaitsamtu. Było już tam kilkudziesięciu takich jak ja. Przeznaczeni zostaliśmy na „sprzedaż". Kupującym był SS-man. Wybrał nas trzech: Józefa Falkowicza, Jana Mizyja i mnie. Pojechaliśmy pociągiem do stacji Roszenfeld, a stamtąd końmi (3 km) do miejscowości Brysigswalde, p-ta Sutzen, pow. Gerdan. Było to w Prusach Wschodnich (obecnie

tereny te należą do Rosji). Zamieszkaliśmy w starym drewnianym budynku, z trzema dużymi pomieszczeniami. Mieszkała tam rodzina z dwuletnim dzieckiem oraz dwie rodziny bezdzietne. Oprócz nich były jeszcze cztery osoby samotne: dwie Ukrainki, jedna Litwinka oraz jeden Ruski z 12-letnim synem, który także musiał pracować. Jedna z Ukrainek była kucharką, druga pracowała wraz z Litwinką przy świniach. W gospodarstwie było przeszło 100 kur oraz kilkanaście świń. Mężczyźni pracowali przy koniach oraz w pracach polowych i podwórzowych. Ja najwięcej jeździłem końmi. Codziennie odwoziłem mleko do mleczarni. Przy odwożeniu mleka miałem okazję do kombinowania. Zawsze brałem ze sobą butelkę wody oraz małe naczynie. Poza zabudowaniami zatrzymywałem się i zbierałem śmietanę z mleka (do naczynia). Ażeby w bańce nie brakowało mleka, wlewałem do niej butelkę wody. Nikt mnie nie przyłapał, zawsze się udawało. Jednego razu, a było to zimową porą, wiozłem mleko do mleczarni pośród dużych zasp. W pewnym momencie sanie się przewróciły i wylało się mleko z dwóch baniek. Nie zgłosiłem tego Niemcowi, a przy rozliczeniach z mleczarnią okazało się, że brakuje jednej bańki mleka. W obecności kolegi, który umiał dobrze po niemiecku, SS-man wyjął pistolet i chciał mnie zastrzelić. Kolega zaczął go jednak prosić, aby darował mi życie, że za to mleko na pewno mu zapłacę. No i jakoś szczęśliwie z tego wyszedłem.

Był jeszcze jeden ciekawy przypadek. Pewnego razu w trójkę zrobiliśmy strajk: nie jedliśmy śniadania, domagając się codziennej porcji kilku gram masła, ponieważ zgodnie z przepisami się nam należała. Niemiec SS-man wściekł się wtedy. Zadzwonił na posterunek, z którego przyjechało 3-ch uzbrojonych żandarmów, z trupimi główkami na czapkach. Pojedynczo zaczęli nas wzywać do stajni na przesłuchanie. Pierwszy poszedł Falkowski. Bili go pałą i kolbą karabinu. Otrzymał uderzenie w skroń, pod ucho, tak że stracił częściowo słuch (obecnie ma jakieś 82 lata). Mnie wezwali na końcu. Najpierw bili „normalnie", a potem nastąpiło uderzenie kolbą w brodę. Zatoczyłem się i przewróciłem na stajenny płotek. Sztachetki się połamały, a ja znalazłem się pomiędzy źrebakami. Także i one mnie trochę poturbowały, ale jakoś szczęśliwie się wywlokłem. Broda jednak bardzo bolała – była skaleczona. Kiedy żandarmi odjechali, Niemiec SS-man powiedział nam, że w następnym dniu mamy w trzech zgłosić się na posterunek, aby się dowiedzieć co z nami dalej będzie. Robiliśmy już przygotowania na drogę w nieznane; a to suchy prowiant, a to machorka, a to krupczatka – mogły być przydatne. Spodziewaliśmy się odstawienia do jakiegoś obozu koncentracyjnego, a stamtąd żywy raczej nikt nie wychodził. Zgłosiliśmy się więc na posterunek. Na szczęście nasze obawy się nie spełniły. Przed posterunkiem był duży ogródek. Wydano nam szpadle … i za karę musieliśmy skopać cały ogród.

Poza tym, co opisałem wyżej, nie było ciekawych wydarzeń, aż do czasu gdy zaczął się przybliżać front wschodni. W początkach grudnia 1944 r.

wysłał mnie „nasz" Niemiec z paroma końmi i wozem na wschód – do budowy rowów przeciwczołgowych. Front był coraz bliżej; słychać już było wybuchy pocisków. Dowoziłem końmi kamienie i gruz, a inni malowali ściany rowów przeciwczołgowych. Trwało to parę dni. Gdy front był już bardzo blisko zostaliśmy zwolnieni. W ciągu kilku godzin dojechałem na miejsce. Niemiec był zadowolony, że dla jego konia nic się nie stało.

W odległości ok. l km swoje gospodarstwo miał brat „mojego" Niemca. W tym czasie go nie było, gdyż został powołany do wojska. Jego żona pozostała wraz z dziećmi sama, stąd i nie radziła sobie z gospodarowaniem. Niemiec przydzielił mnie więc dla niej do pomocy. Rano pomagałem w obsłudze krów, wraz z Niemką je doiłem. Jednego ranka, a było to w końcu grudnia 1944 r., Niemka się nie pojawiła. Było jeszcze ciemno. Pomyślałem sobie, że na pewno zaspała, to i trzeba ją obudzić. Podszedłem pod mieszkanie, patrzę, a tu drzwi wywalone, okna potłuczone. Przejął mnie strach. Wszedłem do mieszkania, lecz Niemki z dziećmi nie zastałem. Wszędzie był okropny bałagan, poprzewracane wszystko do góry nogami. Czym prędzej pobiegłem na moją stałą kwaterę, gdzie dowiedziałem się, że Niemka wraz z dziećmi przyszła w nocy do „mojego" Niemca SS-mana. Po prostu, uciekła ze swojego domu. Okazało się bowiem, że w nocy przyszli do niej partyzanci rosyjscy i wszystko co lepsze rozszabrowali. Powiedzieli też, że za dwa tygodnie tereny te zostaną zajęte przez wojska rosyjskie. Tak też się stało. Front zbliżał się coraz szybciej. Niedaleko był las, w którym usadowili się partyzanci. Niemiec SS-man powiadomił o tym żandarmerię. Przyjechali, ustawili się koło lasu … i zaczęli strzelać. Do lasu jednak bali się wejść. Partyzanci tymczasem z oddali obserwowali co dalej będzie się działo. Niemcy wkrótce odjechali i znowu zapanował spokój. Mieszkanie Niemki pozostało jednak zrujnowane; nikt już nie powrócił. Chodziłem tam jeszcze obsługiwać inwentarz, doiłem krowy, mleko jednak przynosiłem na „naszą" kwaterę.

Około 15 stycznia 1945 r. Niemiec SS-man powiedział, że front się zbliża, że zarządzono ewakuację, i że wszyscy muszą opuścić te tereny. Wyjazd miał nastąpić o godzinie czwartej po południu. Najpierw wykopaliśmy obok mieszkania duży dół, do którego wpuściliśmy przyniesioną z mieszkania żelazną skrzynię. Dół zasypaliśmy ziemią. Co tam w tej skrzyni było, nie wiem. Przypuszczam, że jakieś drogocenne rzeczy. Po kilku latach planowałem nawet tam pojechać i odnaleźć tę skrzynię, ale jak się dowiedziałem, że są to bardzo niebezpieczne tereny rosyjskie, to zrezygnowałem. A przygotowania do ucieczki nadal trwały. Mieliśmy do dyspozycji cztery drabiniaste wozy. Na dwa załadowaliśmy to co najpotrzebniejsze, beczkę solonego mięsa oraz inne domowe rzeczy. Na pozostałe dwa załadowała się niemiecka rodzina oraz my wszyscy, łącznie 12 osób z dziećmi. Strzały było już słychać coraz bliżej. Przyjechał jeszcze ojciec z matką tego SS-mana. Wóz miał budę; był to tak zwany „kopej wagen".

Wyruszyliśmy o godzinie 4 po południu. Jechaliśmy całą noc. Postój był nad ranem, w mieście powiatowym Gerdan. Pożywiliśmy się tam dość dobrze mięsem z beczki. Front w tym czasie został przez Niemców na krótko zatrzymany. Niemiec zapytał więc, czy któryś z nas chciałby pojechać z powrotem, by zaopiekować się jego inwentarzem. Zapewniał jednocześnie, że za niedługo i tak wszyscy tam powrócą. Dwóch z nas się zgłosiło. Pojechaliśmy do stacji Roszenfeld, a dalej 4 km pieszo. Przechodząc przez dwie kolejne wisie nie napotkaliśmy nikogo. Wyludnione były, a mieszkania pootwierane. Szliśmy dalej. Będąc już u celu, najpierw weszliśmy do obory, aby napić krowy. Ryczały z głodu i pragnienia. Nie dało się jednak je napoić, ponieważ w rurach pozamarzała woda. Blisko był staw, to i wyrąbałem szerokie przeręble, z zamiarem czerpania z nich wody. Zdecydowaliśmy, że udoimy mleka dla siebie, po czym wszystkie wypuścimy. Tak też się stało. Krowy pobiegły na staw, lecz lód był tak śliski, że żadna z nich się nie napiła. Przewracały się i niemiłosiernie ryczały gdy je opuszczaliśmy. Udojone mleko ugotowaliśmy. W mieszkaniu znaleźliśmy ser i chleb, to i porządnie sobie podjedliśmy. I co dalej? Wszystko powypuszczaliśmy, źrebaki i świnie. Inwentarz biegał po podwórzu jak zwariowany.

W mieszkaniu było pełno wszystkiego. Pobraliśmy co najpotrzebniejsze na dwa rowery, umocowaliśmy nasze pakunki i ruszyliśmy w drogę, z zamiarem dogonienia naszych furmanek. Na szosie było dużo śniegu; obciążone ładunkiem rowery trzeba było pchać. Wycofywała się już ostatnia linia obrony Niemców. Dość niespodziewanie i na naszej szosie rozległa się strzelanina. Niemcy zajęli stanowiska i prowadzili walkę z nacierającymi wojskami radzieckimi. Jakoś zdołaliśmy się wyrwać z tego kotła ... i dalej pchaliśmy te nasze rowery po śniegu. Było to bardzo duże utrudnienie. Szosą poruszało się bardzo dużo wycofującego się niemieckiego wojska, a także uciekinierzy cywile – z konnymi wozami. Samochody spychały powozy do rowu, robiąc przejazd dla wycofujących się żołnierzy. W rowach wszystko było poprzewracane, słychać było jęki ludzi, płacz dzieci. Istne pobojowisko! Porzuciliśmy nasze bagaże i rowery, a wzięliśmy tylko tyle, ile zdołaliśmy unieść. Ale i to było chyba niepotrzebne. Front na trochę się zatrzymał. Mój kolega wtedy mnie opuścił, gdyż chciał koniecznie dogonić swoich (miał żonę i dzieci). Udało mu się to, trwało to jednak bardzo długo.

Zostałem sam, jednak nie na długo. Zewsząd gromadziło się bardzo dużo jeńców wojennych: Polaków, Francuzów, Anglików. Momentami było wesoło. W opuszczonych przez Niemców mieszkaniach było dużo żywności. Ale i sami również staraliśmy się o nią. Wszędzie wałęsały się świnie, krowy, cielęta, kury. Przechodząc przez małe miasteczko zastaliśmy jeszcze czynne sklepy. Był też szpital niemieckich żołnierzy, zwożonych z frontu samochodami. Za miastem, w odległości 1,5 km, z dala od głównej szosy, stał duży budynek mieszkalny, więc we trzech go zajęliśmy. Nagromadzone w tym miesz-

kaniu rzeczy załadowaliśmy na rowery i czekaliśmy co będzie dalej. Pojawiło w tym mieszkaniu także dwóch zbłąkanych żołnierzy niemieckich, z których jeden był Ślązakiem. Umiał mówić po polsku. Zaczął w mieszkaniu szukać jakiegoś cywilnego ubrania. Znalazł tylko spodnie. Drugiemu z żołnierzy powiedział, żeby się schował się piwnicy, bowiem był chory. Wkrótce nastąpił atak wojsk rosyjskich na pobliskie miasteczko. Wielu Niemców dostało się tam do niewoli. Wkrótce nastąpił również ostrzał naszego budynku. Padliśmy na podłogę. Z okien wylatywały szyby. Nie trwało to jednak długo. Po jakimś czasie do mieszkania wszedł rosyjski żołnierz i poprosił, żeby mu dać coś do picia oraz suche skarpety. Natychmiast je otrzymał. Napił się, zmienił skarpety na suche, na szczęście miałem je w swoim bagażu. Podziękował. Odchodząc powiedział, że możemy już iść do Polski, gdyż te tereny są już wyzwolone. Natychmiast przygotowaliśmy rowery i bagaże do drogi, z zamiarem niezwłocznego opuszczenia tego miejsca. Skierowaliśmy się ku głównej szosie. Widać na niej było posuwające się liczne grupy rosyjskiego wojska. Naraz zauważyłem jadącego ku nam – na koniu – oficera rosyjskiego. Stanął, wyciągnął pistolet i spytał co my za jedni. Odpowiedziałem, że jesteśmy Polakami. Spytał z kolei, czy są tutaj również Niemcy. Odpowiedziałem, że są. Polecił, aby natychmiast wyszli z mieszkania. Poszedłem więc do piwnicy, do tego co był chory, i powiedziałem aby wyszedł. Ten drugi, nie w pełni przebrany w cywilne ubranie Ślązak, także wyszedł. Oficer zabrał nam zegarki i wszystkim polecił iść w kierunku głównej szosy. Na szosie zatrzymał jednego z rosyjskich żołnierzy i polecił mu rozstrzelać Niemców. Ten jednak odmówił. Zatrzymał więc następnego i wydał to samo polecenie. Ów spytał, *katoryje* to Niemcy. Polecił im, aby zeszli z szosy i zaczął do nich strzelać. Od razu zostali zabici. Ten na koniu powiedział do nas, że jesteśmy wolni.

Przepychaliśmy się dalej z naszymi rowerami między wojskiem. Naraz zatrzymał nas kolejny ruski, i mówi: *dawaj czasy* . Mówię mu, że już nie mamy, że zabrał ten, co na koniu. A on, *nie choczesz otdat',* i mierzy do mnie z karabinu. Ledwo uszliśmy z życiem. Gdy zbliżyliśmy się do jednego z miast znowu nas zatrzymali. Miałem na nogach ładne cholewki, zapinane. I właśnie te cholewki mi zabrał. Szliśmy z rowerami i bagażami na rowerach. Mijaliśmy kompletnie zrujnowane miasteczko. Miejscami leżeli zabici – kobiety i dzieci. Nikt nie sprzątał tego pobojowiska. Z wielkim trudem udało się nam przedostać poza miasto. Przeszliśmy może l km, a tutaj znowu jedzie na koniu dwóch ruskich. Zabrali nam rowery, w zamian dając konie. Przeładowaliśmy bagaże na konie i dalej je prowadziliśmy. Teraz to już pewnie dojdziemy do Polski. Uszliśmy trochę, a przed nami znowu ruskie, do tego w bryczce, zaprzężonej w dwa konie. Wycieńczone jednak były, to i nie bardzo ciągnęły. Zabrali więc „nasze" mocne konie, a oddali bryczkę ze „swoimi". Znowu przekładaliśmy bagaże. Konie były tak bardzo wycieńczone, że nie chciały dalej iść. Pomału pchaliśmy ten nasz „majątek" do przodu. Słońce przygrzewało,

nadchodziła odwilż. Naraz usłyszeliśmy warkot samolotów, a zaraz potem wybuchy bomb. Zeskoczyliśmy z bryczki do rowu, a którym było bardzo dużo topniejącego śniegu. Bomby rozrywały się wokół. Przetrwaliśmy bez strat. Konie jednak nie dały rady iść dalej. Z bagaży wzięliśmy tylko tyle, co dało się unieść. Więcej jak połowa pozostała w bryczce.

Nie wiedzieliśmy gdzie i dokąd iść. Zastała nas noc. Weszliśmy więc do jakiegoś mieszkania. Znajdowały się w nim dwie Niemki z dziećmi, które nie zdążyły uciec. Pokładaliśmy się spać. Wkrótce przyszli jednak ruskie i nas wygonili. Obok była obora, to i tam ułożyliśmy się. Było okropnie zimno. Nazajutrz ruszyliśmy dalej szosą. W rowach, po obu stronach szosy, leżały poprzewracane wozy uciekinierów, na ogół z pełnym wyposażeniem. Ruskie w tym wszystkim grzebali, porozpruwali nawet pierzyny, stąd pierze wszędzie fruwało. Powiedział mi kolega, już po wojnie, że matka Niemca SS-mana u którego pracowaliśmy w drodze zmarła. Niemiec prosił go, żeby ją jakoś pochował. Wziął więc ją za nogi i wyciągnął z wozu, po czym wrzucił do rowu i przykrył śniegiem. Niemiec płakał i wzywał Boga.

Chodziliśmy jeszcze parę dni luzem. Zbierało się nas coraz więcej, nawet paręset osób. Mijaliśmy zniszczone miasta i wsie. Ostrzegano nas, aby pojedynczo się nie oddalać, ponieważ w okolicy znajdowali się jeszcze uzbrojeni Niemcy. Doszliśmy tak w pobliże litewskiej granicy, gdzie przygotowane były namioty w których nas ulokowano. Było to jakieś małe miasteczko – nie zniszczone. Znajdowała się tam kuchnia polowa, to i głód nam nie dokuczał. W obozie tym były także osoby duchowne. Na ulicy zbudowaliśmy ołtarz, przy którym ksiądz odprawiał nabożeństwa. Przystępowaliśmy do komunii świętej. Obok mnie stał jakiś ruski żołnierz. Mimochodem powiedział: *u nas za caria tożie liudi moliliś, a tiepier niet*. Po paru dniach pobytu w tych namiotach, ażeby nie próżnować, załadowano nas na samochód (około 40 osób) i przewieziono bliżej frontu. Prowadzone były jeszcze walki o Królewiec. Budowaliśmy lotnisko polowe: wycinaliśmy krzaki, równali teren i układali blaszane płyty. Było to pod koniec lutego, tak więc, mróz był jeszcze dość duży. Była tam kuchnia polowa, jednak nie dla wszystkich. Ten tylko otrzymywał jedzenie, kto był silniejszy … był w stanie do niej się dopchać. Ani razu nie otrzymałem posiłku, stąd byłem bardzo wycieńczony. Ledwie trzymałem się na nogach. Zauważył to ruski sołdat. Spytał mnie wówczas, co mi jest. Odpowiedziałem, że dwa dni nic nie jadłem i ledwo żyję. Ulitował się nade mną i kazał pójść za nim. Miał w garnku kaszę, której najadłem się do syta. Było tak przez kilka dni.

Kiedy skończyliśmy budowanie lotniska odwieziono nas w pierwotne miejsce zakwaterowania. W marcu było już dość ciepło. Wtedy znowu przewieziono nas samochodami bliżej frontu. Nadal trwały zacięte walki o Królewiec. Zatrudniono nas przy oczyszczaniu pobojowiska. Wykopano koparką ogromny dół, do którego zrzucaliśmy ciała zabitych. A było ich bardzo dużo.

Martwych ładowano na samochody: dwóch wrzucało, a dwóch układało na samochodzie. Z całego pobojowiska zmieściliśmy w tym dole około 100 zabitych. Byli to żołnierze niemieccy i ruscy, a również cywile. Zabierałem Niemcom buty, konserwy oraz inne wartościowe rzeczy. Gdy uprzątnęliśmy całe pobojowisko na wierzch wspólnej mogiły położone zostały koce, po czym dół zasypaliśmy ziemią. Z karabinów jeszcze wystrzelano na wiwat. Odwieziono nas znowu do obozu, gdzie czekaliśmy na wymarsz do Polski.

Józef Kościuk z żoną Franciszką i dziećmi. Fot. ok. 1956 r.

Był już kwiecień. Konwojowani byliśmy przez rosyjskich żołnierzy ku przedwojennej granicy Polski. Każdy z nas miał przy sobie jakiś bagaż. Ja miałem wózek dziecinny (wiozłem w nim bagaż), walizkę oraz kilka wartościowych rzeczy. Doprowadzono nas tylko do granicy, a dalej szliśmy już sami. I tak doszliśmy do Mławy, gdzie bardzo uroczyście nas przyjęto. Na trybunie witał jakiś wojskowy oficer. Po kilku brały nas na noc polskie rodziny. Jedzenie u nich było przednie. Nad ranem udaliśmy się na dworzec. Za godzinę miał być pociąg do Warszawy. Na dworcu jakaś kobieta powiedziała mi, abym sprzedał jej wózek, bo i tak do pociągu z nim nie wejdę. Sprzedałem więc za 5 zł, które bardzo mi się później przydały. Wepchnąłem wszystko do walizki i cierpliwie czekałem na przyjazd pociąg. Kiedy nadjechał od razu zauważyłem, że jest kompletnie nabity. Pełno było ludzi na buforach, nawet przez okna nie dało się wejść. Podszedłem do pierwszego przy lokomotywie wagonu. Siedziało tam kilku polskich żołnierzy, wracających z niewoli. Mimo

tego, że oznajmiłem ich o takim samym moim losie, nie chcieli wpuścić. Wtedy wyciągnąłem dwa złote i dałem pierwszemu z brzegu. No i jakoś mnie wcisnęli.

W Warszawie wysiadka. Wszyscy wysiedli i najbliższą trasą, przez tory, podążali do dworca. Stał tam jednak wartownik, który kazał wszystkim obchodzić do przejścia, odległego o około l km. Dałem mu 2 zł, to i przepuścił na skróty. Zaraz też podstawił się pociąg do Łukowa. W Łukowie ruski żołnierz zaprowadził mnie na komendanturę, gdzie jakiś *starszyna* przeprowadził rewizję. Nic podejrzanego w walizce nie znalazł, gdyż były tam przeważnie ciuchy. Na dnie walizki miałem starannie ułożoną niemiecką mapę. Gdyby ją znalazł, mogło być źle. Przez tę kontrolę uciekł mi pociąg do Białej Podlaskiej. Musiałem później dość długo czekać. Wysiadłem w Międzyrzecu. Później przeszedłem jeszcze 8 km, z przewieszoną na plecach walizką, do mieszkającej w Rogoźniczce siostry.

I na tym moje wspomnienia wojenne zakończyłem.

*Do druku podała oraz fotografie udostępniła Elżbieta Dorosz z Zabłocia k. Swór – bratanica autora wspomnień*

*felieton*

***Małgorzata Markowska***
(Siedlce)

# Martwisz się … że powieki ci opadają?

*Pamięci Anny Jufimiuk, 42- letniej nauczycielki o kręconych włosach, która zmarła w szpitalu w Białej Podlaskiej10 października 2014 r.*

Miała wszystko – urodę, figurę, pieniądze, sławę, przystojnego mężczyznę i zdrowe dzieci … i tylko 36 lat. Anna Przybylska. Kwintesencja piękna. Doskonałość, której już nie ma.

Dlatego siostro nie płacz, że stuknęła ci czterdziestka. W tej sytuacji jesteś wyróżniona. Udało ci się – mimo przekonania o własnej szpetocie – wyprzedzić ideał. Spokojnie bierzesz za rękę swoje dziecko, nie lękające się twojej śmierci. Jakiż to komfort … Idziecie po chleb i po piórnik Monster Hihg. Ono się ociąga, ty pośpieszasz. Ta czterdziestka, to szczęśliwość, która dla Ani okazała się nieosiągalna ...

W krojeniu bułki, w rozbijaniu jajka, zamykają się twoje dni. Masz żal, że przy tych czynnościach siwieją ci włosy. Ale to ty cieszysz się matkowaniem. W swoim czasie zaopatrzysz swoje potomstwo w wykształcenie, wyposażysz w miłość, będziesz siedzieć w pierwszej ławce na ślubie. I możesz zadzwonić do mamy, nie zaburzając biologicznego porządku. To bezcenne …

Śmierć Ani zdaje się być zadana z pobudek okrutnych. Dlaczego akurat Ona? Wielu ludzi uważa, że ich żywot jest bezcelowy … Chcieliby wypisać się z życia, ale trwają w swojej codzienności, modląc się o zgon. Czy śmierć bierze pod uwagę potrzeby wołających?

Do Grażyny Błęckiej–Kolskiej dziecko już nie zadzwoni. W lipcu tego roku aktorka pochowała jedyną córkę. Jechały razem samochodem na festiwal do Wrocławia. To miała być jazda jakich wiele. Tymczasem Kolska z nieznanych przyczyn straciła panowanie nad kierownicą. Auto wypadło z trasy ... Dwudziestotrzyletnia Zuzanna straciła życie. Ileż dziewczęcych marzeń nie opuści kokonu, ileż zamierzeń nigdy nie powstanie, ileż pocałunków nigdy nie zawiśnie na chłopięcych ustach … Czy śmierć bierze to pod uwagę? Jeśli zatem masz dwadzieścia lat siostro, nie płacz, że przejściowe trudności nie

chcą przejść. Twoim ośrodkiem szczęścia jest przyszłość, której Zuzanna nie ma.

Jeśli zaś jesteś po pięćdziesiątce i martwisz się, że powieki opadają ci na brzeg oka, pomyśl o tak drastycznej sytuacji jak wyżej opisana. Jakiej jakości życie będzie teraz prowadziła aktorka, trawiona utratą i niepokojem? To nie będzie nawet wegetacja. To implozja, uporczywe zapadanie się do wewnątrz, jak budynek skazany na rozbiórkę. Dlatego siostro nie płacz … nie płacz, że szarzeje ci tęczówka, nie płacz, że żyjesz bez kamienia u szyi.

W lutym 2012 r., w wieku 88 lat zmarła Wisława Szymborska – poetka, eseistka, ale i laureatka nagrody Nobla. Wiodła życie podporządkowane tworzeniu. Krótko była zamężna, nie zdecydowała się też na dzieci. Wydaje się, że wspomnienie o Szymborskiej nie pasuje do konwencji refleksji. Wszak dobiegała dziewięćdziesiątki, bliskich nie miała, to i wyrwy w sercu rodzinie nie uczyniła. Nic bardziej mylnego. Odeszła upiwszy łyk kawy. Postawiła filiżankę na nocnej szafce i zamierzała ją sączyć. Nie spodziewała się śmierci, a zatem i po nią przyszła ona przed czasem. Ileż pięknych słów nie zostało misternie złożonych, ile myśli w lot nie uchwyconych. Poetka zgasła wraz z przenikliwością umysłu i literackim polotem. Była ozdobą świata. Tacy ludzie nie powinni odchodzić …

[śmierć - przyp. autorki]

*Zajęta zabijaniem,*
*robi to niezdarnie,*
*bez systemu i wprawy.*
*Jakby na każdym z nas uczyła się dopiero.*

*Tryumfy tryumfami,*
*ale ileż klęsk,*
*ciosów chybionych*
*i prób podejmowanych od nowa!**

*Fragment wiersza „O śmierci bez przesady" pochodzi ze zbioru pt. „Widok z ziarnkiem piasku" Wisławy Szymborskiej (1996).

# *komu słowo pisane jest bliskie*

z członkami jury 30 Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. J. I. Kraszewskiego – Eligiuszem Dymowskim (przew.) oraz Grzegorzem Michałowskim – rozmawia Kamila Kolęda

*To już trzydziesta edycja Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. J. I. Kraszewskiego. Jakim zainteresowaniem się cieszyła?*

**ED:** Jak przystało na jubileusz, w tym roku wpłynęło na konkurs bardzo dużo prac. Niektórzy przesyłali tylko po jednym utworze, inni decydowali się na dwa lub trzy. W sumie do tegorocznego konkursu zgłosiło się około dwustu osób z całego kraju, a więc, znacząca liczba literatów.

*Zapewne niełatwo było z tylu tekstów wybrać te zwycięskie. Obrady musiały więc być burzliwe?*

**ED:** Bardzo! Spotkaliśmy się w agroturystycznej posiadłości jednego z członków jury, Leszka Sokołowskiego, i na tym neutralnym gruncie podejmowaliśmy wspólne decyzje. Wiadomo, każdy z nas ma swoje preferencje, więc miał też własne typy, które chciał przeforsować. Cieszy fakt, że teksty pretendujące do głównych nagród oceniliśmy podobnie. Jako jurorzy zgodziliśmy się też co do tego, że w tym roku proza była znacznie lepsza od tekstów poetyckich. Wpłynęło jej bardzo dużo i naprawdę mieliśmy problem, by wybrać laureatów nagród w tej kategorii. W historii konkursu dużo częściej bywało odwrotnie. Proza jest bowiem specyficzną formą autorskiej wypowiedzi: dłuższą i bardziej dojrzałą, zwykle popartą doświadczeniem twórcy.

**GM:** Choć oczywiście wśród tekstów poetyckich także znalazły się perełki, które na jurorach zrobiły duże wrażenie. Ich autorzy zostali też docenieni.

*Pośród laureatów nie brakuje mieszkańców południowego Podlasia. Co wygrana oznacza dla nich w praktyce?*

**GM:** Przede wszystkim publikacje w „Podlaskim Kwartalniku Kulturalnym" i „Gościńcu Bialskim". Ale niekiedy także w literackich wydanictwach zagranicznych – serbskojęzycznych i białoruskich („Maładost";

Mińsk). Gdy mamy do czynienia z bardzo dobrą poezją, decydujemy się na wydanie tomiku poetyckiego, który następnie oceniany jest przez krajowych i zagranicznych krytyków literackich. Szczególne tutaj należą się podziękowania Marii Makarskiej z Lublina, która zrecenzowała kilkanaście podlaskich zbiorków poetyckich. Dzięki konkursowi odkrywamy talenty literackie wśród młodego pokolenia. Tym sposobem zadebiutowała na przykład Katarzyna Sawczuk, akurat w tym roku po raz drugi zwyciężczyni w konkursie literackim im. J.I. Kraszewskiego. Jej tomik doczekał się aż sześciu ogólnopolskich recenzji, m.in. w „Radostowej" (Kielce) oraz „Akancie" (Bydgoszcz)

**ED:** Dzięki konkursowi osoby pochodzące z południowego Podlasia mają szansę wypłynąć na szerokie wody. To ważne, bo dzisiaj bardzo trudno jest się przebić na rynku literackim; konkurencja jest olbrzymia.

Eligiusz Dymowski i Grzegorz Michałowski – w towarzystwie J.I. Kraszewskiego

**GM:** Powiedziałbym nawet, że osoby z naszego regionu mają większe szanse na publikacje swoich tekstów tutaj, na Podlasiu, niż w dużych miastach. Ktoś, kto jest naprawdę jest dobry w tej profesji, ma dużą szansę zaistnienia niemal od razu.

*Zwrócili panowie uwagę na pewien znak naszych czasów: prawie wszyscy piszą ... książki, wiersze ... Z czego to wynika?*

**ED:** Ludzie mają silną potrzebę zaistnienia, a że dzisiaj można wydać wszystko, nawet własnym sumptem, korzystają z tej okazji. Tyle że tylko najbardziej wartościowe publikacje przetrwają próbę czasu. Prowadząc różnego rodzaju warsztaty literackie spotykam osoby, które próbują swoich sił w prozie czy poezji, ale ze słabym skutkiem. Uważam, że mogą parać się pisaniem, pod warunkiem, że jest to dla nich pewien rodzaj terapii, jakiejś duchowej potrzeby, i nie zagraża to zalewowi banalizmu na rynku księgarskim. Dziś jest być może więcej piszących, niż czytających, i to jest pewien dramat. Nasz konkurs daje możliwość sprawdzenia siebie, swoich umiejętności. Na szczęście wśród biorących w nim udział jest wielu takich, którzy naprawdę potrafią pisać. Niektórzy jednak nie decydują się na kontynuowanie tej pasji. W historii konkursu mieliśmy osoby, które po zdobyciu nagrody odkładały „pióra" na zawsze. Niemniej, jak wynika z rozmów z nimi, literatura na zawsze pozostaje bliska ich sercom.

*Pokuśmy się o ocenę podjętej przed trzema dekadami inicjatywy.*

**ED:** To przede wszystkim jeden z nielicznych konkursów ogólnopolskich o tak długiej tradycji. Wiele mu podobnych dawno już upadło. Siła tego przedsięwzięcia tkwi w wielu elementach. Na pewno jest ono doskonałą promocją tego regionu. Konkursowi towarzyszą wydarzenia kulturalne związane z „Podlaskimi Spotkaniami Literackimi", które nie są związane wyłącznie z beletrystyką, lecz również z innymi dziedzinami sztuki. Ale inicjatywa ta daje przede wszystkim szansę stawiającym pierwsze kroki literatom. Dzięki niemu przełamują własne bariery, pokonują pewnego rodzaju wstyd literacki. Wśród zgłaszających swoje prace pojawiają się także nazwiska z dużym dorobkiem, co świadczy, że konkurs ma swoją markę i cieszy się dużą renomą.

**GM:** O tej renomie świadczy też fakt, że laureaci zawsze w swoich literackich biografiach powołują się na nasz konkurs. Ważne jest to, że zgłaszają się do niego zarówno osoby bardzo młode, jak i dojrzałe. Nagrody otrzymywały nastoletnie początkujące literatki, jak na przykład Aleksandra Pieńkosz, Katarzyna Sawczuk czy Joanna Sawicka, ale też blisko 70-letni, Henryk Kozak, publikowany w kraju i poza granicami Polski, który w ubiegłorocznej edycji konkursu zajął pierwsze miejsce w kategorii poezji. Jak widać, konkurs skierowany jest do każdego, komu słowo pisane jest bliskie. I właśnie w tym tkwi jego siła.

*Dziękuję za rozmowę*

# Laureaci 30 Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. J.I. Kraszewskiego (nagrody główne)

*I nagroda*

***Katarzyna Sawczuk***
**(**Biała Podlaska)

## Pieśń nie-weselna

mamy ciała ulepione z tego samego ciasta
z mąki żytniej na zakwasie
przy śpiewie naszych ukraińskich pieśni

mamy takie dusze na obraz i podobieństwo
naszych chachłackich przodków
wystawione na próbę czasu

mamy swój własny język
i odkąd się znamy ukryty zamiar
obojgu nam wiadomy

ale wypiłeś kielich wina z inną kobietą
ona nie rozumie naszych zwyczajów
miesza je ze swoimi

teraz jesteście jedno ciało
a pół tego ciała miało być dla mnie
a pół tego ciała miało być moje

nakarm mnie kradzionym chlebem
napój mnie słodkim winem
bo nie mogłam tańczyć na twoim weselu
przy śpiewie nie naszych pieśni

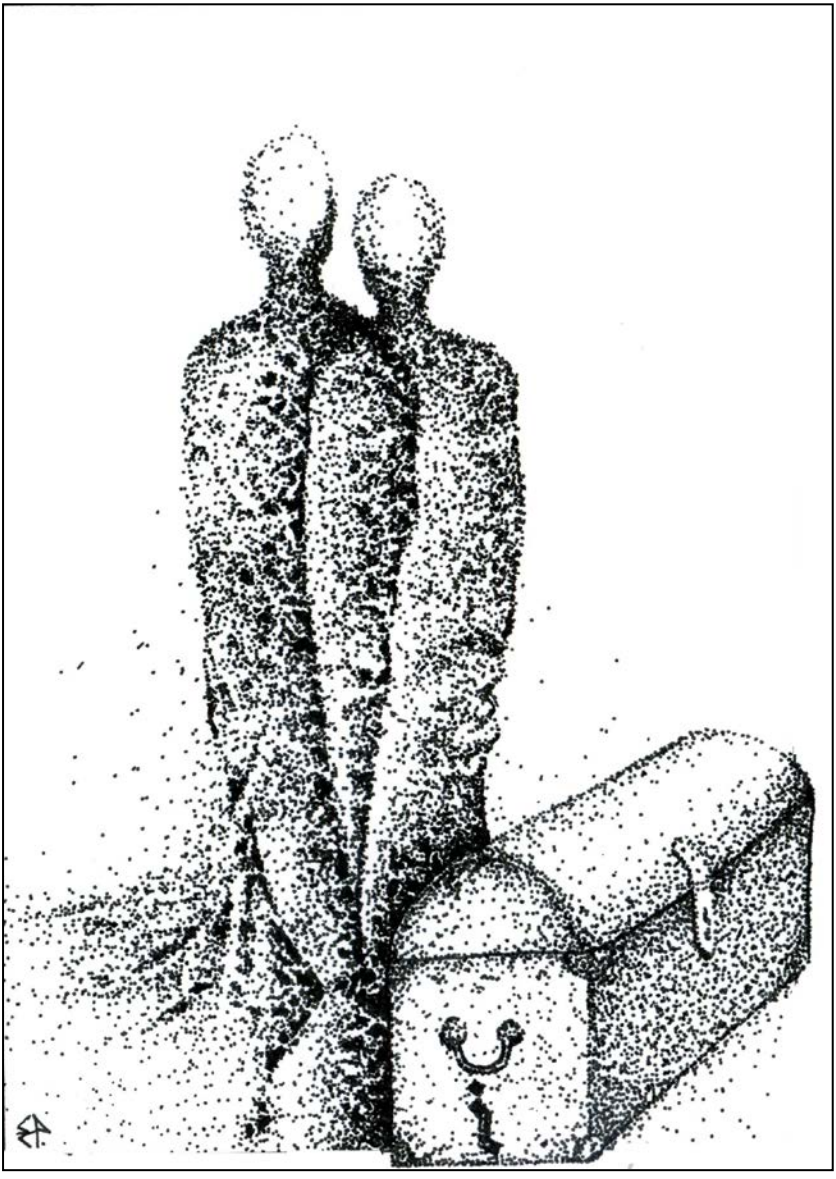

## O przeznaczeniu

*pamięci Nadziei i Piotra*

poznaliśmy się tydzień wcześniej
niż byliśmy sobie przeznaczeni
trzeba było szybko zmieniać plany

uciekać od siebie

bo to jeszcze nie teraz

podróżowaliśmy daleko
więc dlaczego spośród tylu miast na świecie
wybrałeś to samo co ja
i znów spotkaliśmy się wcześniej
niż sobie planowaliśmy

***

poznałam kiedyś starych ludzi
którzy pobrali się o tydzień za wcześnie
i to ich uratowało przed rozłąką
przed pójściem w różne strony świata
kiedy przyszedł rozkaz wysiedlenia
mieli już wspólny kuferek na drogę

miłość bywa praktyczna

to jest bardzo stara historia
dzięki której nie wierzę w przeznaczenie

*wrzesień 2014*

*II nagroda*

***Zdzisław Kobierski***
(Skarżysko Kamienna)

## Przegapiłem

Dopiero wczoraj nasza pierwsza randka
pocałunki, spacery za rękę
przyspieszone bicie serca na widok listonosza
z niepewności czy w jego ciasnej od listów torbie
jest ten jeden wyjątkowy do mnie.

Tymczasem dzisiaj spacerujesz z naszą wnuczką
a ja w pośpiesznym pociągu codziennego życia
nie zauważyłem tyle lat trwającą chwilę
bycia razem, pracy, kochania
… przegapiłem

## Smutne piękno

Liście złote, czerwone i żółte
suche i mokre
poniewiera jesienny wiatr.
Słabnące słońce
nieśmiałymi promykami
doświetla leśną drogę.
Grzyby ukryte w materacu z mchu
pokazują swoje kapelusze
tylko wytrawnym zbieraczom.
Mgły nad łąkami i chłód wody w strumyku
mówią że coś znów się kończy
że to już kolejna nasza jesień.

## Ta sama

W zwiewnej sukience koloru fal
brzegiem morza biegnie dziewczyna
na spotkanie swojego chłopaka.
Uśmiechem młodości i urody
sięgającym po horyzont nieba
dzieli się swoją radością z wiatrem i mewami.
…
Babcia zza parawanu
upomina wnuczkę
aby oddała wiaderko bratu.

Bierze za dłoń
drzemiącego obok męża
i wraca do swoich wspomnień.
Wystarczy że przymknie powieki
i znów jest tą dziewczyną z bałtyckiej plaży
pięknością w błękitnej sukience.

## Wolę

Wolę młodych za to
że chcą zmieniać świat
i że ich nigdy nic nie boli.

Wolę młodych za ich
kierowane nad chmury marzenia
i za głodne ciekawością życie.

Wolę młodych
a w metrykach niechaj choćby mają
… i sto lat.

*III nagroda*

## ***Paulina Maciejuk***
(Lublin)

24.11.2012

nie
nie żałuję
choć czasem pytają mnie o to

bo przelać siebie na papier
i oddać innym
to jakby pozwolić
dotknąć swego wnętrza
rozebrać się ze wszystkiego
i stanąć nago
bezbronnie
czekając na cios krytyki

ot taka forma
artystycznego ekshibicjonizmu

XII.2012

niektórzy marzną tylko zimą
mi chłód dokucza okrągłe
kalendarzowe 12 miesięcy

najbardziej uciążliwy to ten
bijący z pościeli po przebudzeniu
codziennie
i ten przy kubku
gorącej herbaty wieczorem

skulonej pod pluszowym kocem
marzną stopy
zamarzają wnętrzności

## wehikuł czasu

całe szczęście
zamknięte w dłoni
w dłoni matki
trzymającej mnie za rękę
na przejściu przez jezdnię

wróćmy do tamtych czasów

## katharsis

ześlij Panie
deszcz
niech zmyje ze stóp
pył i kurz
szarej codzienności
niech zbudzi
grzesznie kuszącą
zieleń drzew

ześlij Panie
błyskawice
niech rozedrą niebo
na pół
jak moje serce

niech przeszyją
od głowy do stóp
i przyniosą tęczę
z błogim ukojeniem
na jej końcu

*I nagroda*

***Anna Czujkowska-Włodarska***
(Lublin)

# Dwie strony ulicy
## *dziennik ubiegłego tysiąclecia*

*lipiec*

Nie dostałam się na studia. Wstyd na całą wieś. Ledwie poczęta romanistka, a już skasowana prawem egzaminu wstępnego. Nie zdałam. Tak po prostu. A tak pięknie rozprawiałam na ustnym o muzyce Clauda Debussy'ego … Wiedziałam od pewnej studentki, że egzaminator uwielbia „Popołudnie Fauna", nie byłam więc zaskoczona, gdy starszego pana ożywiło moje nagłe wyznanie. „L'Apres-midi d'un Faune" należało wymawiać głosem ściszonym i łagodnym, wskazującym na znaczny poziom wtajemniczenia. Wielka szkoda, że nie podziałało…

***

Trawy stały nieruchome w słońcu, gdy trzeci już raz w tym tygodniu wracałam z odległej poczty, aby osobiście przejąć powiadomienie z uniwersytetu, zanim z torby listonosza trafi wprost w ręce ojca. Już wiem, że nie przyjęto mnie z powodu niezdanego egzaminu, oficjalną jednak przyczyną powinien pozostać brak wolnych miejsc. Jestem gotowa żałować, że nie byłam w liceum kujonem i że nie ewakuowałam się bezpiecznie na studia bez egzaminu, na świadectwie z czerwonym paskiem. Widziałam na liście sporo takich szczęśliwców. Zbyt wielu. Staram się nie wychodzić z domu, by nie prowokować pytań o moje studia. Ojciec jest załamany, zupełnie nie potrafi tego ukryć. On także unika ludzi. Tylko pies patrzy na mnie niezmiennie zakochanym wzrokiem. Przeklęte muchy czynią poobiednią ciszę nie do zniesienia. *L'Apres-midi d'un Faune, L'Apres-midi d'un Faune…*

***

Nie chciała mnie wyższa uczelnia, ale sam Lublin nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Wypatrzyłam dziś kilka urokliwych uliczek, na których bym pragnęła zamieszkać. Już wyobrażam sobie jesień w tych ulicach i pierwszy śnieg pod latarniami. Czuję w sobie ogromną potrzebę pisania i niezbędną ku temu potrzebę samotności. Przejechałam szmat drogi, by się w tym mieście zakotwiczyć. Należało poszukać pretekstu, czyli jakiejś pomaturalnej szkoły. Jakiej? To pewnie bez znaczenia, jeśli nie będę mogła studiować filo-

logii romańskiej. I tak przyjdzie mi raz jeszcze zdawać za rok. Z egzaminów pamiętam, że jakiś chłopak zdawał szósty raz i zdradził wszystkim, iż tym razem go na pewno wezmą. Zawsze biorą tych, którzy zdają szósty raz. Mnie będą musieli wziąć za drugim, a póki co – muszę gdzieś przeczekać. Może nawet nie byłoby to wszystko takie trudne, gdyby i szkoły pomaturalne nie pozamykały już swoich przyjęć. Mój wybór padł na studium hotelarskie, właśnie z powodu obcego języka. Sekretarka szybko zamknęła temat: Brak wolnych miejsc, ponadto wcześniej tam też przeprowadzano egzaminy. Z trudem udało mi się dostać do dyrektora.

– Błagam Pana, niech mnie Pan przyjmie. Obiecuję mieć same piątki, a co najmniej czwórki. Przy pierwszej gorszej ocenie mnie Pan wyrzuci lub sama honorowo opuszczę mury szkoły – zapewniałam żarliwie. Dyrektor zdawał się być poruszony moją historią i niezwykłą determinacją. Po chwili namysłu zdobył się na pewną obietnicę, która jednak nie mogła mnie w tym momencie satysfakcjonować.

– Zapraszam Panią pod koniec września; zwykle do tego czasu ktoś z naszej szkoły rezygnuje, wtedy ja panią przyjmę. Obiecuję.

Perspektywa wydała mi się zbyt odległa i niepewna. Podziękowałam i udałam się na dalsze poszukiwania.

Następne w kolejności było studium geodezji i kartografii, obszary najzupełniej obce. Upewniwszy się, że w grę wchodzi rysunek techniczny, sama straciłam zainteresowanie. Moją uwagę przykuło jednak obecne w tym samym budynku studium melioracji.

– To dla chłopców, proszę pani. Nie mamy u siebie ani jednej damy. Rozumie pani, specyfika pracy, brodzenie po mokrych łąkach …

– To coś naprawdę dla mnie, niech mi Pani uwierzy – zapewniałam. – Uwielbiam podmokłe łąki, jestem wychowanką pól, łąk i lasów. Mam duszę romantyka, ale nie boję się konkretnej roboty.

Sekretarka udała się na krótką naradę do jakiegoś gabinetu i wróciła z werdyktem:

– Na próbę możemy przyjąć do grupy jedną przedstawicielkę płci żeńskiej, ale czy poradzi sobie pani z rysunkiem technicznym?

– O rany, to i tutaj? – zwątpiłam ostatecznie i postanowiłam poszukać czegoś równie przyziemnego, ale niewymagającego tak dalekiej precyzji: studium gastronomiczne. Przybytek niewysokich lotów, w sam raz dla kury domowej. Ale przynajmniej przez ten rok nauczę się dobrze gotować i nie będę głodowała!

W sekretariacie szkoły pozostała jeszcze jedna drobna formalność: napisać krótkie podanie i życiorys. Szybko sporządziłam jedno i drugie, lecz gdy tylko podałam kartki sekretarce, ta oddała mi je z powrotem:

– Niech to Pani jakoś normalnie napisze…

– Nie bardzo rozumiem, to znaczy jak? – zapytałam nieśmiało.

– Normalnie to znaczy nor-mal-nie! – wyskandowała przez zęby i podała mi nowe kartki. Zapełniłam je ponownie, pomijając tym razem pewne punkty życiorysu, starając się uchronić własną tożsamość przed inwazją najwyraźniej odmiennej, obcej mi natury. I tym razem jednak mój życiorys wrócił do poprawki. Przeczucie mi podpowiadało, że to, co mam napisać, nie może w niczym przypominać pracy szkolnej i że powinno być ujęte bez należnej dbałości o styl. Nie bardzo mi się to podobało, jednak skleciwszy naprędce, trzęsącą się ręką, parę zdań, poddałam je ponownej ocenie. Werdykt doprowadził mnie do szału.

– Do jasnej cholery! – nie wytrzymałam wreszcie, wrzasnąwszy na cały głos. – Dla waszej zasranej szkoły nie będę gwałciła własnej natury, nie będę się zniżała do poziomu, jaki tu w szkole wystarcza do sterczenia nad garami. Dziękuję, z całego serca Pani dziękuję, że mnie Pani otrzeźwiła – to mówiąc, zgniotłam zapisaną kartkę w ręce i cisnęłam przez otwarte okno.

– Adieu, Madame, je t'emmerde! – wykrzyczałam, gdy byłam już po drugiej stronie drzwi, nie mając odwagi wypowiedzieć w ojczystym języku nazwy tego miejsca, w które by mnie miała pocałować.

Pozostał jeszcze ostatni punkt programu: studium włókiennicze. Rzecz na tyle obca, że nie stwarzająca zagrożenia na przyszłość. Nie było bowiem możliwe, bym mogła z czegoś takiego cokolwiek dla siebie utkać. Kilka zdań napisanych najgorzej jak potrafiłam, z wciśniętym na siłę błędem ortograficznym – i już byłam przyjęta. Uczucie ulgi i straszliwej straty, jak cyrograf podpisany własną krwią.

*sierpień*

Byłam dziś w Lublinie. Przejrzałam kilka urokliwych zakątków, które bym chciała oglądać z okien mojego lokum, lecz w żadnym nie oczekiwano lokatora. Pewna śliczna, wyzywająco ubrana dziewczyna, przejęta moimi poszukiwaniami, obiecała dowiedzieć się o dodatkowe miejsce dla mnie u swego gospodarza. W międzyczasie zaprowadziła mnie do knajpy, gdzie pracowała jako kelnerka ze swą starszą siostrą. Ogromna była moja wdzięczność, że obie – tak doskonałe i dopracowane w każdym calu – chcą mi poświęcić swój czas. Mnie – Kopciuszkowi i prowincjonalnej gęsi. Jednocześnie, obserwując skierowane ku nim łakome, lubieżne spojrzenia mężczyzn, obudziły się we mnie obawy, że nie sprostam ich prawdopodobnemu stylowi bycia i że nie będę go chciała podzielać. Chroniłam w sobie wyobrażenie o wielkiej, czystej miłości.

***

Dzisiejsze poszukiwania stancji zakończyły się sukcesem. Tym razem woził mnie taksówkarz, któremu się wydawało, że zna kilka dobrych miejsc, a na koniec, uciekłszy się do tzw. zdrowego rozsądku, zawiózł mnie w rejony mojej „uczelni", bym przynajmniej miała blisko na zajęcia. Będzie czekało na

mnie miejsce przy ulicy Truskawkowej. Cóż, truskawki lubię, ale sama ulica – straszna. I w nazwie, i we wszystkim, co ją tworzy. Z pewnością nie uda mi się tam spłodzić żadnego dzieła.

***

Ten mariaż z włókiennictwem to ani z miłości, ani z rozsądku. Jakiś akt autodestrukcji, który by miał potrząsnąć moim życiem, a jednocześnie odholować mnie w rejony bezpieczne, na przeczekanie. Tyle tylko, że przez cały ten czas, który do niczego ma nie doprowadzić, ojciec będzie musiał łożyć na moje utrzymanie. Bez sensu, naprawdę bez sensu …

Zmieniam decyzję: pójdę do klasztoru. Oczywiście nie na serio, bo nie wyobrażam sobie nie mieć w przyszłości męża i dzieci. Widziałam się ze znajomą zakonnicą. Pojedziemy do samego matecznika, aby mogła mnie zaprezentować swoim przełożonym. Martwię się, że siostra zakonna, która powiezie mnie na oględziny, ma zbyt dużą nadzieję, że zechcę tam pozostać. Już sama nie wiem, co by było dla mnie lepsze. Powiedzmy, że nie wykluczam możliwości, iż mogłabym pozostać w klasztorze na zawsze. Tak naprawdę – nikt mnie nie kocha, prócz może jednego, cholernie inteligentnego dziwaka, ale wiązać się z nim, to bronić go przed całym światem, i to jakby nigdy nie mieć domu.

Być może kiedyś odnajdzie mnie moje szczęście, ale ono przecież by mnie odnalazło i w klasztorze?... Fajnie by było uciec z klasztoru z kimś wartym grzechu. Skądś nabieram pewności, że dopiero w tych grubych murach, za zamkniętymi ciężkimi drzwiami, coś się dla mnie otworzy. Bo to taka ironia losu, bo może i ja jestem pomyłką natury, jak to o sobie mawia ów największy w okolicy dziwak, wietrzący być może powinowactwo dusz?

Pójdę więc do klasztoru, choć sama jeszcze nie wiem, czy to dobry pomysł. Prawdopodobnie mogłabym tam kontynuować grę na fortepianie (ściślej: na organach). Wyobrażam sobie, że pracowałabym jako organistka w jakimś kościele, najchętniej w tym, w którym by msze odprawiał On – wielbiony przeze mnie ksiądz, wybranek serca. A nawet jeśli zdecyduję się znów zdawać na studia, to rok spędzony na muzykowaniu nie byłby rokiem straconym, a w zamian za codzienną modlitwę dostałabym wikt i opierunek. Ogólnie – nie najgorzej.

***

W klasztorze było z powodu mojego przyjazdu wielkie święto, na deser podano nawet lody. Jedna z dziewcząt, które na czas nauki szkolnej, a jak widać, także i podczas wakacji pomieszkują w klasztorze i są zapewne zdeklarowane Bogu, zapewniła mnie, że nie jest tak zawsze. Ucztę wydano z okazji mojego przyjazdu. Nie bardzo rozumiem – po co? Naprawdę, nie jest mi to na rękę i jest mi z tego powodu głupio, bo czuję się tu trochę jak koń trojański.

Ostatecznie przecież nie wykluczam, że mogłabym tu zagrzać miejsce na dłużej, ale problemem mógłby być brak bratniej duszy. Te trzy dziewczyny zupełnie jakieś lewe, bez fantazji, sztywne i nieprzyjemne. Zupełnie nie znają się na żartach i widać, że mnie nie lubią. Już zapowiedziały, że nie będę mogła nosić mojej dżinsowej spódnicy i że z pewnością siostry obetną mi włosy. To ostatnie zabrzmiało złowieszczo. Długie włosy to połowa mojej osobowości, i zamach na nie byłby rzeczą straszną. Przecież nawet i tu, w zakonie, pierwsze okrzyki, wydane na mój widok, brzmiały:

– O! Maryla Rodowicz! Jaka podobna do Rodowicz!

No właśnie, spróbujcie obciąć Maryli włosy – gryzłaby i kopała jak wściekła klacz! I ja swoich nie oddam. Wybłagam pozwolenie na warkoczyki, to druga połowa mojej natury. A jak by Rodowicz wyglądała w habicie? Intrygująco zapewne. Jak terrorystka. Jak zamachowiec, który ma za zadanie wysadzić klasztor w powietrze.

Zaliczyłam dziś jedną wpadkę: rozczesywałam umyte włosy, siedząc na parapecie okna. Promienie słońca miały je uczynić jeszcze jaśniejszymi.

– Na Boga, dziewczyno, schodź no tu szybko, toż tam na dole, na ulicy, już całe zbiegowisko, nie widzisz?! – jakaś starsza zakonnica wpadła zdyszana do pokoju. Faktycznie, nie zauważyłam, pochłonięta własnymi myślami, jednakowoż owo naruszenie normy zaczęło mnie niebezpiecznie bawić. Podobnie jak wyrywające mi się co chwila małe, w gruncie rzeczy niewinne słówka, udające prawdziwe przekleństwa, które wywołują u bezwzględnych dziewcząt falę ogromnego zgorszenia. Inspiruje mnie to tylko do dalszych, coraz śmielszych prób przełamywania tabu.

***

W klasztorze rozprawiano dziś o mojej muzycznej edukacji. Miałam zdecydować, kto będzie mi udzielał lekcji gry: przebywająca na miejscu siostra zakonna, czy mieszkający w pewnej odległości od klasztoru starszy pan – profesor muzyki. Decyzję podjęłam natychmiast, podpierając ją silnym argumentem:

– Znając siebie, proszę sióstr, decyduję się na mocną rękę. Żadnej łagodności, żadnego folgowania. Niech mnie już uczy ten profesor, przynajmniej będę miała nad głową bat.

– Oho, nasza siostra jest równie wymagająca, moje dziecko …

– Być może – odrzekłam, ale z pewnością ma zbyt dobre serce, a ja to zaraz wykorzystam. W tej nauce nie wolno mi w niczym popuścić: Muszę grać albo dobrze – albo wcale!

Stanęło na Profesorze. Bogu dzięki, bo pewnie bym oszalała, będąc skazana na ten wieczny, nieustający babiniec.

Potem czekało mnie spotkanie z Matką Generalną. Akurat przyleciała do Polski z jakiejś misji w Afryce. Czułam się trochę jak na egzaminie. Pytała

o religijność moich rodziców i o towarzyszące mi, w związku z perspektywą zakonnego życia, emocje. A ja nie kryłam, że jest mi w tej chwili bardzo smutno, gdyż wiem, że nie będę mogła mieć własnych dzieci, ale że też to wszystko po to, bym bardziej mogła kochać cudze, i że tak wielka ofiara będzie milsza Bogu.

***

Dziś niedziela. Jako nowo przybyły do zakonu gość otrzymałam w darze serca od sióstr przywilej stania na mszy w pierwszym rzędzie. To nie lada wyróżnienie. Rozumiejąc, jak bardzo to dla nich ważne, byłam gotowa oddać ów przywilej którejkolwiek z nich, najchętniej tej, którą by on najdogłębniej ucieszył. Ostatecznie jednak, nie mogąc odstąpić przywileju, stanęłam w bliskości ołtarza z postanowieniem rozpoznania sytuacji. Było tak, albo może tak mi się tylko zdawało, że ksiądz cały czas lustrował mnie wzrokiem. Stałam w dżinsowej spódnicy, z włosami rozpuszczonymi jak nimfa błotna (jak mawiał mój dziadek) albo też jak Maryla Rodowicz – ksiądz zapewne obstawił któryś typ. Miał silny, donośny głos. Zdecydowany i męski. Co chwilę wtórował mu chór tych słabych i monotonnych, wydobywających się jak z najgłębszych czyśćcowych otchłani. Zrobiło mi się tych sióstr strasznie żal. To są chore głosy – skonstatowałam. – Wszystko tu jest chore. On przychodzi z zewnątrz, ze świata żywych, one zaś utrzymywane są w niekończącym się letargu, bo zapewne tylko tak mogą tu przetrwać. Biedne istoty, może i któraś z nich tęskni za kimś lub choćby i do niego – do niego jak do mężczyzny, tymczasem on dziś spośród wszystkich wybrał mnie, należącą do jego świata, pachnącą jeszcze świeżo skoszoną łąką, wysmaganą słońcem … No nie, coś mi się wydaje, że droga do mojego Umiłowanego nie prowadzi przez kościół, a wręcz przeciwnie.

***

Przewrotna kartko, ale byś mi narobiła ambarasu! Siedzę rozdygotana i zgrzana jak mysz! Wypadła mi szelma z rąk, a ja patrzyłam bezwolnie na jej zygzakowaty lot. Byłam pewna, że śledzę ją cały czas wzrokiem, tymczasem się okazało, że w spodziewanym miejscu upadku jej nie było. Nie do wiary, istne działanie sił nieczystych. W przybytku jak ten może być to nawet możliwe, bo Diabeł lubi się zakradać do miejsc świętych, lubi kusić i mącić. Ja sama mam nieodparte wrażenie, że w krótkim czasie stałam się tu kimś gorszym, niż jestem naprawdę. Boże, przebacz mi. Pomóż mi odnaleźć tę przeklętą kartkę i pozwól mi stąd bezpiecznie odejść, a będę Cię najgorliwiej wyznawała w świecie zwykłych śmiertelników. Narobiłam strasznego bałaganu, gdyż wydawało mi się, że zapisany kawałek papieru mógł się przedostać przez uchylone drzwi szafy pomiędzy półki z garderobą jednej z dziewcząt. Ledwie poukładałam na nowo jej osobistą bieliznę. Zlitował się w końcu nade

mną Święty Antoni, specjalista od rzeczy zagubionych. Gdy tylko padłam na kolana z imieniem Jego na ustach, przyjęta pozycja horyzontalna umożliwiła mi dostrzeżenie niesfornej zapiski pod łóżkiem, sprytnie ukrytej za nóżką nocnej szafki.

***

Przyszedł czas powrotu do domu. Będę musiała wszystko raz jeszcze przemyśleć. Zapewniono mnie, że drzwi klasztoru będą odtąd stały przede mną otworem. Wystarczy, że usłyszę głos „Przyjdź do mnie". Siostra, z którą wyruszyłam w drogę powrotną, była ze mnie bardzo dumna. Wyznała mi poufnie, że Matka Generalna wiąże ze mną ogromne nadzieje:

– Ta dziewczyna dobrze wie, czego chce. Tak wielkiego powołania nie widziałam jeszcze, jak moje 25-lecie!

*wrzesień*

Przeżyłam pierwszą, straszną noc na Truskawkowej. Jakoś zupełnie nie pomyślałam, że należało mieć własną kołdrę i poduszkę. Noc była przeraźliwie zimna, przez wentylator w ścianie przenikało mroźne powietrze. Strasznie pusto i nieprzytulnie, z pewnością szykowano to pomieszczenie na kuchnię. Jak się dowiedziałam, ma tu stanąć jeszcze jedno łóżko, gdyby znalazła się chętna osoba, bo pokój jest duży. Całe szczęście, że Pani przyniosła mi kołderkę dziecka, więc włożyłam ją sobie pod głowę. Spałam, a właściwie trwałam w dreszczach do rana, przykryta tylko letnim płaszczem. Gdy wybrałam się na rozpoczęcie roku szkolnego, szkoła świeciła pustkami. Uroczysta inauguracja odbywała się ponoć w kinie Kosmos. Wróciłam na stancję po kilka drobiazgów – i już zaplanowałam weekendowy wyjazd do mieszkającej w stolicy siostry. W drodze do dworca, gdy akurat mijałam moją przyszłą szkołę, zatrzymało się przy mnie osobowe auto. Dziewczyna w moim wieku, jak się okazało – także przyszła włókienniczka – rozpaczliwie poszukiwała stancji.

– Popatrz – mówiła – szwagier wozi mnie tu z kołdrą i poduszką, musi już wracać, a nie ma mnie gdzie z tym majdanem zostawić …

– Hę, mówisz: z kołdrą i poduszką? No tak, to duży problem, ale się nie martw. Jedźcie na Truskawkową, tam w moim pokoju jest jeszcze jedno wolne miejsce!

***

Po trochę opóźnionym powrocie na stancję mój los wyraźnie się poprawił. Marcysia okazała się być przecudnym, przesympatycznym stworzeniem, a przy tym z ogromną zaletą w postaci ciepłej kołdry i poduszki. Dodaje mi też otuchy, gdy nagle tracę poczucie sensu. Nudzę się na lekcjach, zamiast rysunków technicznych (jednak znalazły mnie i tutaj) szkicuję twarz

jednej i tej samej dziewczynki w niekończących się replikach. Marcysia w tym czasie sporządza za mnie rysunek techniczny, zapewne w zrozumiałej trosce, by za szybko mnie z tej szkoły nie wyrzucili. Brak włókienniczego powołania trudno na dłuższą metę ukryć.

– To kiedy nas Pani opuści? To nie jest miejsce dla Pani … – zauważył nauczyciel jakiegoś przedmiotu (nie zdążyłam jeszcze zapytać Marcysi, jak się ten przedmiot nazywa; wszystkie one do siebie bardzo podobne). Ciekawa jestem, skąd wiedział, że mam to wszystko w głębokim poważaniu, przecież nie mogę mieć tego wypisanego na twarzy.

***

Dziwne, że i w takiej szkole nauczyciele wygłaszają mowy o wyższości wykładanego przez siebie przedmiotu nad innymi. Czyż można przedkładać jeden przedmiot nad drugi, jeśli nijak nie da się odróżnić jednego od drugiego? Jakaś Pani nauczycielka dziś usiłowała nam to wmówić. Jedyne, co mi po tym zostało, to ten oto wierszyk:

*Ciągle się po klasie wlecze,*
*Mówi, by nie ważyć lekce*
*Tego to przedmiotu, który*
*– Nie wiem, jak się zwie z fachury.*
*Nazwiska jakoweś sypie*
*Autorów książek w jej typie,*
*A ja milczenie mam w głowie*
*Po każdym jej sztywnym słowie.*
*Kajetu nie mam żadnego,*
*Ni tego i ni owego.*
*I książek ja nie posiadam.*
*I myślę. I nic nie gadam…*

***

Dałam dziś straszną plamę, ale najpierw nie na żarty się wystraszyłam. Późne powroty do domu mogą przyprawić o atak serca. Gdy tak szłam wzdłuż cmentarza przy Unickiej, a było już grubo po dziesiątej w nocy, zauważyłam idącego za mną mężczyznę. Przyśpieszyłam kroku, a on uczynił dokładnie to samo. Czułam na karku jego oddech.

– Dobry wieczór – powiedział zrównując krok z moim.

– Dobry wieczór – usiłowałam odpowiedzieć przyjaźnie, by oswoić potencjalnego wroga. Na szczęście powinnam była już skręcić w boczną uliczkę, więc istniała realna szansa na pozbycie się delikwenta. Ten jednak nie miał zamiaru odstąpić ode mnie, nawet wtedy, gdy musiałam wejść w ciemny, niebezpieczny zaułek.

– Niezbyt miło tak samej łazić po nocy – wyrzuciłam z siebie, ale widzę, że i Pan musi pokonywać te egipskie ciemności…

– Czasem trzeba, a jakże! – wykrzyknął radośnie.

– No to co? – zapytałam z udawanym zaciekawieniem, kryjąc szczery przestrach, gdy osobnik nadal kierował za mną swe kroki. – To tak sobie dalej idziemy razem?

– A idziemy! Dobrze się składa!

– Pana tu na żarty zbiera, a ja powiem Panu coś fajnego: Jednego razu, gdy wracałam do domu, nie byłam w stanie namierzyć, gdzie właściwie mieszkam. Wszystko przez ogórki, które dotąd stały w słoikach na balkonie i wskazywały mi właściwy dom pośród tylu podobnych do siebie, a tego dnia – zniknęły. Pan sobie wyobraża? Gospodyni sprzątnęła ogórki, a ja zupełnie straciłam orientację …

– Złapałyby za dużo słońca, trzeba je było schować do piwnicy.

– Zapewne tak było, jak Pan mówi, ale proszę sobie wyobrazić moje położenie: stałam na dworze jak bezdomna, jak dziecko we mgle. Bo ja tu, proszę Pana, mieszkam na stancji od niedawna, tu niedaleko … – kontynuowałam opowieść jak Szeherezada. Na nic się to jednak zdało, bo natrętny adorator, najwyraźniej nie chcąc mnie opuścić, podprowadził mnie już pod sam dom.

– Teraz muszę się już naprawdę z Panem pożegnać. Właśnie tu mieszkam

– wyszeptałam drżącym głosem, obawiając się sięgnąć po klucze.

– Wiem, wiem, panienko. Ja otworzę, mam klucze na wierzchu – to mówiąc, sięgnął ręką ku ścianie i sprawił, że w górze rozbłysło światło.

– ??? – patrzyłam na niego z zapewne niewyraźną miną.

– Tak myślałem, że mnie Pani nie poznała. Za mało bywa Pani w domu.

***

Mieliśmy dziś pierwszy sprawdzian z jakiegoś przedmiotu. Potem Marcysia mi powie – z jakiego. O dziwo, zadanie okazało się dość ciekawe; mogłabym się nawet pokusić o rozwiązanie, gdybym tylko wiedziała, jaki jest do niego klucz. To jakby ktoś po chińsku zapytał cię o godzinę. Nic prostszego, bo przecież masz zegarek, tylko jak to wyrazić po chińsku? Było jakoś tak: na punkt oddziaływały różne siły, trzeba było coś wyliczyć. Liczby wyglądały znajomo i zachęcająco. Z matmy byłam niezła. Pan od tego przedmiotu stał przy mnie wyczekująco, byłam więc zmuszona przystąpić do pracy:

*…Jestem punktem zawieszonym w przestrzeni, bez oparcia, a to znaczy, że nie oddziałują na mnie żadne siły* … – pisałam w największym natchnieniu, zainspirowana treścią zadania. Pisałam długo, długo, uchwyciwszy dziewiarski wątek. Swoją pracę oddałam jako jedna z ostatnich i czułam, że atmosfera zagęściła się bezpowrotnie, na tyle, iż coś musi się wydarzyć.

***

A to coś niesamowitego zdarzyło się już dziś: w drzwiach klasy stanęła moja koleżanka z liceum i wywołała mnie z lekcji. Kochana Agatka, Jak ona mnie tu znalazła?! Po oblanym egzaminie na studia wylądowała w studium medycznym na drugim końcu Polski i po paru tygodniach ścielenia łóżek miała już serdecznie dość.

– Rzucaj w cholerę tę przędzalnię, jedziemy do Szczebrzeszyna! Od października otwierają tam eksperymentalnie, dla takich niedobitków jak my, studium nauczania początkowego. Za trzy dni egzamin … – Agata wyrzuciła z siebie jednym tchem, z emocji czerwona jak burak.

Tej decyzji nie trzeba było nawet podejmować. Spadła prosto z nieba i ukazała oczom wielki kawał błękitu.

*październik*

Egzamin wstępny do nowej szkoły był samą przyjemnością. Trzeba było wystukać parę rytmów i zaśpiewać piosenkę. Wybrałam przepiękny utwór Georges'a Moustakiego – *Le facteur*. Przejmujący liryczny wstęp z rozdzierającą serce wokalizą, mówiący o śmierci młodego listonosza i o tym, że miłość nie może już podróżować, gdyż straciła swojego posłańca. Chyba naprawdę zapadł w pamięć zacnej komisji, bo już za parę dni wpadł do nas na zajęcia dyrektor szkoły i szukał tej pani, która „tak pięknie śpiewała po francusku". Musiałam zaśpiewać piosenkę jeszcze raz, a potem jeszcze jedną.

Obie nasze grupy złożone były z samych desantowców: niedoszły biolog, filozof, filolożki i psycholożki, pedagog i w-f-ista. Mieszkają wszyscy gdzie popadnie. My we dwie z Agatką mieszkamy w domku przybudowanym do muru kościelnego, w małym pokoiku, w którym mieści się jeden spory tapczan, chuda szafa i piecyk elektryczny. W jeszcze mniejszym pomieszczeniu, zawieszonym pół piętra wyżej, niczym wagonik górskiej kolejki, zgotowano nam „kącik czystości": stojącą na krześle metalową miskę i wiadro z wodą. Wodę nosimy z publicznej studni, znajdującej się nieopodal, po drugiej stronie ulicy. Brakuje tu wprawdzie jednego ważnego gabinetu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, ale awaryjnie sprawę można za 50 groszy załatwić na nieodległym dworcu PKS lub w ziejących otwartymi kraterami miejskich szaletach, przyległych do największej w miasteczku speluny. Warunki nieszczególne, zważywszy na dość wysoką miesięczną opłatę. Trudno mieć jednak pretensję do losu. Gospodyni sprawę od początku postawiła uczciwie:

– Musicie tylko wiedzieć, dziewczęta, że nie będziecie miały w domu ubikacji. My tu wprawdzie mamy swoją na piętrze, ale nie praktykujemy wspólnego użytkowania. Będziecie sobie chodzić do toalet publicznych. To wam pewnie nie będzie przeszkadzało? – patrzyła na nas badawczo, z nadzieją w oczach.

– Oczywiście, że nie. Nie ma sprawy, prawda? Bierzemy? – Agata spojrzała na mnie prosząco.

– Pewnie, że bierzemy – przytaknęłam skwapliwie, daleka od drobiazgowości, czym rzecz całą zamknęłam i definitywnie przypieczętowałam.

***

Spartańskie warunki życia mają tę dobrą stronę, że wymuszają niezbędny do przetrwania ład. Nie ma na ten przykład mowy o tym, żebyśmy miały się nadprogramowo obżerać. Fizjologia nie ma prawa nas zaskoczyć. Jeśli chodzi o mnie, całe popołudnia spędzam w szkole, nie odstępując pianina. Gra na tym instrumencie jest wysoko postawiona w programie szkoły, a ja mam możliwość ją doskonalić i – co nie bez znaczenia – nie muszę tracić kasy na dworcu PKS.

Aby uczynić życie prostszym, oszczędzamy wodę i czas. Myć się trzeba, rzecz jasna, ale już takie jajko bez problemu można ugotować grzałką, co automatycznie daje wrzątek na zaparzenie herbaty. Agata w swoich udoskonaleniach poszła jeszcze dalej: gotuje grzałką mleko. Ja nie znoszę mleka i nie znoszę tych brązowych wiór, które potem trzeba obrywać z grzałki, jeśli nie chce się pić obrzydliwej lury, czyli śmierdzącej spalenizną „bawarki".

***

Nie wiem, po jaką cholerę Agata zarządziła odchudzanie. Nie jestem aż tak zdeterminowana, właściwie nawet nie jestem gruba i nie mam też dla kogo walczyć o nienaganną sylwetkę. Ostatecznie jednak zgodziłam się cierpieć dla towarzystwa. Wolno nam w ciągu dnia zjeść trochę chudego twarogu lub gotowane jajko, czasami prosto z drzewa zerwane cherlawe, niedorozwinięte jabłko. Już parę dni chodzę smutna i zła. Życie nie jest sprawiedliwe. Munia, która wynajmuje pokój po sąsiedzku, u dwojga staruszków, jest przez nich bez przerwy podkarmiana i na dodatek może korzystać z ich wygódki. Tyle tylko, że w naszej sytuacji jedzenie jest wysoce niewskazane.

***

Strasznie mi wstyd, zdradziłam dziś moją najlepszą koleżankę. Diabli ponieśli nas do kina, na jakiś film. Agata pewnie pamięta tytuł, a ja pamiętam tylko tyle, że w filmie tym zamawiano w knajpie jajecznicę. Było to ponad moje siły; wierciłam się i musiałam być nieznośna, bo Agata, widząc moje zniecierpliwienie poradziła, bym już raczej sobie poszła do domu. I poszłam, ale do knajpy.

– Jajecznica z dwóch jaj, proszę!

***

Moja współlokatorka wyraziła dziś swoje ubolewanie, że mimo trwającej już dwa tygodnie głodówki ja chudnę dużo wolniej niż ona. Udało mi się

ją w końcu pocieszyć i uwolnić od poczucia winy. Żeby tylko Munia się nie wygadała … Od tygodnia po cichu przywołuje mnie do siebie i podkarmia pierożkami albo plackami ziemniaczanymi, które dostaje od staruszków:

– Chodź, chodź – woła mnie konspiracyjnym tonem – nie powiemy Agacie…

***

Ufff, mamy za sobą straszny dzień. Agata dostała list, po którym się wściekła i oświadczyła, że z odchudzaniem koniec. A że akurat dostała z domu pieniądze, zamiotła ręką w szerokim geście i oznajmiła, że jeszcze dziś je przeżremy.

– Do restauracji! Natychmast!

Zamawiałyśmy wszystko, co było możliwe, ale dla niej zakończyło się to strasznymi boleściami brzucha. Po paru godzinach męczarni ogarnęła się wreszcie:

– Popatrz – powiedziała – chudniesz wolniej, ale i tak masz zdrowsze kiszki.

*listopad*

Małe miasteczka mają w sobie mnóstwo tajemnego uroku. Całe życie toczy się tu na jednej głównej ulicy z rzędem niewysokich domków i sklepami na schodkach. Pełne kocich łbów, tych odwiecznych kamieni, od których odbijają się kościelne dzwony, i z wyczuwalnymi zawirowaniami w powietrzu, czymś na kształt światów równoległych. Na późne jesienne spacery wybieram te właśnie strefy graniczne, uaktywniające się w mgłach i w deszczu.

Gdyby nie listy od Marcysi, nie pamiętałabym ani o wzgardzonej Truskawkowej, ani o koszu, jaki dała mi romanistyka. Lecz oto dowiedziałam się właśnie, że za tamten sprawdzian o punkcie zawieszonym w przestrzeni jako jedyna osoba w klasie dostałam ocenę pozytywną (3+). Co ten równy gość tam robi?

Wczoraj napisałam najdłuższy w świecie wiersz, w którym rozprawiłam się ze wspomnieniami mojej niespełnionej miłości. To pewnie przez bliskość kościołów. Chyba też bardziej mi odpowiada trwanie w niespełnieniu, bo nie czuję się gotowa na bycie w pełni kobietą. Agata umawia się na randki, a mnie zabiera ze sobą jak młodszą siostrę. Ta rola bardzo mi odpowiada, bo daje poczucie bezpieczeństwa. Odsuwa ode mnie przyszłość, której się boję. Nie czuję się w takich momentach zbędna ani skrępowana, gdyż weszłam w rolę gramofonu. Jako że nie mamy tu innego sprzętu grającego, umilam zakochanej parze czas śpiewaniem. Pozwalam się nastawić na żądaną piosenkę, choć sama najchętniej wybieram te francuskie. Agata rozpuściła plotkę, że jestem dzieckiem polskiego dyplomaty, które prawie całe życie spędziło we Francji. Zaraz potem przykleił się do mnie pewien niebrzydki chłopiec, który uporczywie próbuje wywołać mnie z domu wołaniem: Francuzeczko! Hej,

Francuzeczko! Wciąż jednak nie jestem zdolna potraktować tego serio, bo wykracza to poza przyjętą przeze mnie rolę.

*grudzień*

Zasypało śniegiem cały Szczebrzeszyn. Ścisnął mróz i w dyżurnym wiadrze wody, w naszym kąciku czystości, każdego ranka trzeba tłuc nożem wierzchnią warstwę lodu. Zimno tam jak w psiarni. Doszła nam za to jeszcze jedna toaleta: wieczorem, pod niebem wyiskrzonym gwiazdami, udajemy się na nadrzeczne łąki i tam pod okiem najdostojniejszego Wieprza każda z nas wybiega w śniegu swoje własne koło, a potem w dowolny sposób znaczy jego środek. Mamy z tego sporo uciechy. Czasami też, gdy straszna zamieć, Munia wpuszcza nas cichaczem do swojej wygódki.

*styczeń*

Od rana jesteśmy w popłochu. Zdarzyła się bardzo dziwna historia. Początek był taki, że Agata złamała regulamin i najadła się zbyt późno. Nie mogłyśmy przecież wysadzić jej w kole o trzeciej w nocy!

– Idź do kącika czystości – powiedziałam – i tak do rana zamarznie.

Lecz oto dziś rankiem Agata wraca blada i drżącym głosem oznajmia:

– Słuchaj Pusiu, gówno zniknęło. Nie ma gówna …

– Jak to zniknęło? Niemożliwe! A na pewno zrobiłaś? – próbowałam się upewnić.

– Jasne, że zrobiłam. Zginął cały foliowy pakuneczek…

– No to nie mamy gówna. Żadna strata – skwitowałam. Szczerze mówiąc jednak, z tym gównem to sprawa podejrzana …

***

Przeżyłyśmy obie z Agatą ciężkie chwile. Wczoraj po południu ta okrutnica doprowadziła mnie do szału. Zarzuciła mi, iż swą nadgorliwością w ćwiczeniach na fortepianie podniosłam poprzeczkę całej grupie, przez co większość ma teraz problem z zaliczeniem. Pech chciał, że trafiła z tym pod „gorącą rękę" (byłyśmy akurat w szkole). W przypływie furii wdarłam się do pokoju nauczycielskiego, wyniosłam dziennik ocen w ustronne miejsce i w akcie samobiczowania postawiłam sobie z muzyki parę dwój, zaś Agacie i kilku innym zagrożonym osobom – czwórki i piątki. O swoim dokonaniu opowiedziałam jej dopiero w domu, gdy musiałam zacząć pakować manatki. Pogodziłam się bowiem z tym, że zostanę skreślona z listy „studentek". Ale Agata pogodzić się z tym nie chciała, wpadła w istną rozpacz, a potem płakałyśmy obydwie. Ona także była gotowa wrócić do rodzinnego domu.

Rankiem z podniesionymi głowami, ramę w ramię, poszłyśmy na zajęcia, aby spojrzeć prawdzie w oczy i ewentualnie pożegnać się z grupą. Okaza-

ło się, że sprawa już się wydała, ale na razie nie wyszła poza dwie zainteresowane osoby: pana od muzyki i opiekunkę roku. Ta druga zapytała wprost, kto się porwał na taki czyn.

– Ja – wyznałam. – Wszystko to moja sprawka. Odmówiłam jednakże podania powodu, którego na siłę nikt nie dochodził. Życie wróciło do normy.

***

Rozstrojowi nerwowemu nierzadko towarzyszy rozstrój brzucha. Całe szczęście, że zła przygoda przytrafiła mi się w niedzielę. Wczesnym rankiem ledwie zdołałam wyskoczyć z łóżka i – narzuciwszy na nocną koszulę tylko długie palto – wystartowałam jak rakieta w stronę publicznych kloak. Omal nie potknęłam się o podlane uryną, zwodniczo tylko przyprószone śniegiem betonowe podesty, i o podchmielonego gościa, który wyrósł niespodziewanie na mojej drodze. Do celu dobiegłam grubo spóźniona, i w efekcie do domu wróciłam uboższa o pewną niewymowną część garderoby.

*luty*

Ostatni zdany egzamin musiał być uczczony należycie, gdyż oblewanie jest zawsze sprawą poważną. Wybór lokalu padł na naszą stancję. W ciasnym pokoju z trudem mogło się pomieścić ponad dwadzieścia osób, było więc trochę oczywistego zamieszania. Gdy tylko wynieśli się ostatni imprezowicze, a dokładniej, gdy ostatniego wyniesiono, zaszczyciła nas wizytą starsza Pani domu:

– Dziś, dziewczęta, przebrała się miarka. Nie mam zamiaru dłużej tolerować waszych gości, ani waszego zachowania. Zbyt wiele tego się zebrało … Myślę, że się rozumiemy? Macie dwa dni na znalezienie nowej stancji. Nie będę mówić o wszystkim, bo zapewne się domyślacie, co jeszcze mam na myśli. Szczur przyniósł mi pod same drzwi taki jeden prezent … Zniósł z piętra po schodach, taki mądry szczur … od Świętego Mikołaja! Poprzegryzał woreczek, podziurawił, pogubił po drodze … Wiedział, gdzie położyć. Bardzo, bardzo mądry szczur!

Patrzyłyśmy na nią jak na oprawcę i ofiarę zarazem. Twarz miała bezwzględną i obolałą.

– Ale przecież nie możecie mieć pretensji, prawda? – kontynuowała głosem niespodziewanie łagodnym. – Uprzedzałam was, że nie będziecie tu miały ubikacji, i to wam nie przeszkadzało … To teraz jesteśmy kwita, i możecie się wynosić. Wynosić! – poprawiła samą siebie, przybrawszy na powrót groźny ton, pokazała na drzwi i wyszła. A my po minucie ciszy stłumiłyśmy nagły, histeryczny śmiech.

***

Awansowałyśmy dziś na drugą stronę ulicy, do okrągłego domu, stojącego na zakręcie. Z uwagi na mieszczący się w nim bar-spelunę użyczanie pokoi uczącej się młodzieży objęte jest tu formalnym zakazem. Na końcu długiego korytarza czynne całą dobę Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i ciepła woda w kranie. Pod trzeszczącą drewnianą podłogą toczy się nocne życie, za oknem przekleństwa, śpiewy i rzewne wyznania zawianych gości. Te same obrazy, tylko oglądane z drugiej strony ulicy. Z wielkich panoramicznych okien widać cichy, przyrośnięty do kościelnego muru dom. Dom, w którym nas już nie ma …

*II nagroda*

***Agnieszka Panasiuk***
(Biała Podlaska)

# Wędrujące wspomnienia

Podlaskie niebo lśniło lazurem, jakiego mogłoby mu pozazdrościć francuskie południowe wybrzeże. Tylko białe, delikatne smużki pozostały po rozwianych podmuchami zefiru kłębiastych chmurach. Złote promienie słońca muskały zieleń łąki, poprzetykaną różnobarwnymi punkcikami pospolitych kwiatów. Srebrzysta Krzna wiła się i opasywała okolicę szeroką wstęgą. Liście topoli i brzóz drżały pod wpływem ciepła … ciepła, które przenikało mnie do głębi.

*Latałam ... Po raz pierwszy w życiu unosiłam się bezwiednie na podmuchach wiatru. Tańczyłam i wirowałam, jak nasionko dmuchawca. Słońce muskało moje jasne włosy i oślepiało oczy. Jak lekko się czułam. Błogość i ciepło pozbawiły mnie racjonalnego myślenia. Chociaż nie, ciekawiło mnie, czy lecę jeszcze nad Białą, czy już poza jej granicami. Podniosłam ciężkie powieki. Uderzyła mnie jasność, później błękit i mgła, zza której…*

– Dobrze. Oddycha. Za ile będzie karetka?
– Już chyba słyszę sygnał.
– Trzymajcie tego pijaka! Jak można w takim stanie prowadzić ciężarówkę.
– Skody nie są odporne na wypadki. To nie te samochody, co kiedyś. Dawniej blacha była blachą, a teraz liczy się tylko elektronika …
– A ta … przeżyje?

Na obsadzonej topolami asfaltowej drodze, oddzielającej siedziby dużych firm od złotych łanów pól, tworzył się korek.

*Moja piękna i niegdyś prosta srebrna skoda przypominała teraz pofalowaną harmonijkę. Tłum ciekawskich gapiów otaczał przybyłą załogę karetki, a niewiele mniej liczny policyjny patrol szarpiący się z jakimś poczerwieniałym awanturnikiem, którego ciężarówka bezwładnie charczała w rowie. Starszy wiekiem lekarz badał moje obolałe ciało, leżące w poprzek drogi! Pod głowę zamiast poduszki wbijał mi się krawężnik.*

*– O Boże! – krzyknęłam sama do siebie, ganiąc się po chwili za ten wybuch, być może nie na miejscu. Spanikowałam. Jeszcze niedawno latałam sobie błogo ... a właściwie latam ponad głowami gawiedzi. To jak mogę jedno-*

*cześnie leżeć i patrzeć szklistymi oczyma w świetlisty punkt wysyłany z latareczki doktora?*
*– Co się do cholery dzieje? – spytałam w próżnię, a ona mi nie odpowiedziała. Gdzie ja jestem? – W niebie powitałby mnie święty Piotr, w piekle jest chyba goręcej, chociaż i tak już zaczynałam się pocić. Czyściec? Trochę za spokojnie, jak na miejsce pokutne.*

– Zabieramy na OIOM, tępy uraz głowy – *zarządził lekarz … i za chwilę pomknęłam w nieznane, z wywołującym przerażenie ale i posłuch sygnałem. Czułam się dziwnie otępiała. Gdzie się podziały te błogie chwile, gdy ktoś dał mi skrzydła?*

– Saturacja, natlenienie, migotanie. *Z oddali dochodziły mnie strzępki słów, gdy w końcu znowu rozbłysło słońce…*

*Sfrunęłam na starą stację kolejową przy wjeździe do miasta. Rozrządowa! Kiedyś rozdzielano na niej przychodzące pociągi, dziś czeka na remont. Tuż obok rozłożyło się pszeniczne poletko. Ciężkie kłosy chwieją się na wietrze, czekając cierpliwie na żniwa. Jeszcze dwa tygodnie i ktoś odciąży słomiane szyjki. Chabry mrugają do mnie oczami Zośki. Starsza przyrodnia siostra miała kiedyś kolor włosów jak te jednodniowe maki. To ona przyprowadziła mnie tu po raz pierwszy, to ona pokazywała mi takie cudowne miejsca w Białej. Prekursorka, prowodyrka, idolka.*

*Pogadamy dziś na Skyp'ie – mruczę do chabra. Zrobię ci bukiet. W Stanach takiego nie dostaniesz – postanawiam, chociaż Zośka wolała chłonąć chwilę, a nie zabierać ją Matce Naturze. Moja siostra ma fotograficzną pamięć i dlatego habilituje się na Harwardzie. A ja zrobię jednak bukiet. Wplotę do niego i tę białą pospolitą koniczynę, porastającą burty torowiska. Brzozowa gałązka delikatnie ozieleniona listkami muska mój policzek, zapraszając na ścieżkę. Po obu stronach kłaniają mi się samosiejki – karłowate sosenki, młode pomarańczewiejące jarzębiny, kaliny z szerokim liściem. Ten swoisty lasek prowadzi mnie, osłaniając przed ciekawskim wzrokiem blokowiska, studentów, basenu. Z każdym krokiem gęstnieje. Bierze przykład z brata, który po drugiej stronie szyn zestarzał się w sosnowy bór i brązowo-zieloną barierą chroni pasy startowe nieczynnego lotniska. Nie boję się, przecież w tym gaju zbieram owocowe i grzybowe dary. Zaraz wyjdę na Młyńską, chociaż robi się tak dziwnie gęsto i zimno…*

– Państwa córka miała wypadek samochodowy. Uderzyła w nią ciężarówka prowadzona przez nietrzeźwego kierowcę. Nie miała szans na jakikolwiek manewr.

*Mama chlipie spazmatycznie, a pobladły tata ogarnia ją jeszcze mocniej opiekuńczym ramieniem.*

– Proszę się uspokoić. Córka miała wiele szczęścia, że wyrzuciło ją na pobocze. Gdyby nie to silne uderzenie głową o krawężnik wyszłaby po obserwacji jedynie z ręką w gipsie – tłumaczy młody i przystojny (*jak podpowiadają mi zmysły*) lekarz.

– Ale … dopytuje się z wahaniem tato. Niepokój pozostawał w nim od trzydziestu kilku lat, gdy stracił na zawsze mamę Zośki.

– Uderzenie było dość silne i spowodowało krwiak. – Mama zaniosła się łzami. – Operacja usunięcia przebiegła bez komplikacji. Reszta wylewu musi wchłonąć się sama, a tkanki zregenerować. Niestety, pacjentki nie udało się jeszcze wybudzić. Przypuszczam, że to jakiś rodzaj śpiączki. – Mama niepodtrzymywana na pewno by upadła. – Na razie nie mamy się czym martwić. Ludzki mózg i świadomość nie są do końca poznane. Musimy czekać, to dopiero kilka godzin i jedynie wstępne rokowania.

– Czy możemy …? – spytał nieśmiało tata.

– Oczywiście! Na moim dyżurze nawet całą dobę, a u kolegów w wyznaczonych porach. Proszę też pamiętać o sobie.

– Dziękujemy – uśmiechnął się blado tata, i już otwierał drzwi sali, gdy mama krzyknęła.

– Pamiętnik! Dorota pisała pamiętnik. Trzeba go znaleźć. Może gdyby … go czytać?

– Bardzo dobry pomysł, proszę pani! – powiedział lekarz. Chorzy w śpiączce mogą nas słyszeć.

*To prawda!* – niby krzyknęłam doktorowi prosto w ucho. Dumna z pomysłu mama weszła do sali.

*Leżałam taka dziwnie blada w tej szpitalnej bieli. Opatrunek zakrywał włosy, a na ręce ciążył gips. Wybiegłam z lasku na białe piaski Młyńskiej. Słońce grzało, mimo że chyliło się już ku zachodowi. Dwa tamtejsze pieski uciekające notorycznie z posesji biegły przede mną wesoło merdając ogonami.*

***

Jakie było moje pierwsze świadome wspomnienie? Chyba to z komunii kuzynki. Deszcz lał strumieniami i wszystkie maluchy z kościoła odwiózł do domu wujostwa znajomy taksówkarz. W tamtych czasach mało kto miał własny samochód. Pierwszy raz rozdzielono mnie wtedy z rodziną. Całą drogę darłam się wniebogłosy, a droga z kościoła na Brzeskiej na same obrzeża Akademickiej była daleka. Skąd czteroletnie dziecko, zapakowane z łapanki w auto mogło wiedzieć, że spotka jeszcze mamę, tatę i Zośkę, którzy w tą pogodę z resztą gości musieli iść piechotą. Zabawa była potem przednia.

Co jeszcze? Miary do szycia u babci – krawcowej, która wyczarowywała mi spódnice, sukienki, w tym tą najpiękniejszą - czerwoną w białe groszki, a nawet paltka i futerka.

Pamiętam, wakacje były długie, a czas biegł wolno, wolniutko, mimo stosu zabaw i setki wybieganych ścieżek. Piaskownica, domek z tektury, huśtawka, jazda w taczce prowadzonej przez tatę. I szkoła na ganku, w której Zośka uczyła mnie podstaw ze swego starego elementarza. To był mój, nasz, mój i Zośki świat. Wdzierała się do niego Grażynka, która nauczyła mnie śpiewać „Puszka okruszka", Dzidzia, z przeróżnymi humorami i chimerami, psująca z łatwością każdą babkę i każdą zabawę, rezolutny i pytalski Piotruś, nerwowy Bartek, z kompleksem rudzielca, często niezadowolony, że chcą się z nim bawić tylko dziewczęta. I Marcia, która płakała z byle powodu, no może z tego, że znowu miała być kupującą, a nie sklepową, dzieckiem, a nie mamą.

Dookoła zawsze coś się budowało: mały blok, duży blok, szkoła, dom nowego sąsiada. Do jednych sąsiadów chodziło się na kolorowy telewizor, gdy nadawano ostatni odcinek „Isaury", czy „Blisko, coraz bliżej", do drugiej sąsiadki po pieczarki, do trzeciej, by sprzedać zerwane przez Zośkę nasze ekologiczne wiśnie, porzeczki, ogórki.

Z mamą chodziło się na zakupy … i nie pamiętam by kolejki były dłuższe od dzisiejszych, a produktów było mniej. Za to mięso zawsze było świeże, bialska śmietana idealna, a siedlecki serek homogenizowany samo marzenie. Marzeniem była też Barbie, uśmiechająca się z witryny Pewex-u, a jej brak łagodziło słodkie co nieco z pobliskich Delikatesów. Z mamą chodziło się też do lekarza … i to dość często. Diagnoza i leczenie zawsze było jedno i to samo – angina i penicylina. Bałwanków narysowanych na ręku nie zliczę. Moje pierwsze rozczarowanie? Wyprawa do miasta przed 1 maja, która zakończyła się wizytą w przychodni. Nie posłuchałam muzyki z głośników zainstalowanych na Placu Wolności, nie pozaglądałam do rozstawionych tam straganów, nie zaprezentowałam szerszej publiczności spódniczki w herbaciane róże. Jakże czułam się oszukana! Byłam zdrowa! Tak jak i gromada dzieci wydzierająca się w poczekalni. Ja też się darłam, każdy by się darł po płynie Lugola.

Rodzice zawsze byli przy mnie, przy nas. Mama miała 100% etat … z bycia mamą. Wychodziła tylko w niektóre wieczory, by uczyć tańca w klubie kultury. Zawsze poruszała się z gracją i tego nauczyła Zośkę. Ja, chyba po tacie, mam dwie lewe nogi.

To tato zarabiał, by niczego nam nie brakowało, i on inicjował wszystkie wycieczki. Kiedy mama odwoziła Zośkę do Warszawy, skąd ta jechała do swoich dziadków, zawsze szliśmy na obiad do babci … i to okrężną drogą. Wychodząc z Orzechowej mijaliśmy taty pracę, porosły starożytny-

mi dębami Zofii Las (wtedy myślałam, że nazwany tak na cześć naszej dzielnej Zośki), most na Alejach 1000-lecia – budowany przez dziadka. Za nim były działeczki z osiedlem domków dla „krasnoludków". Mijaliśmy kino „Merkury", przeglądając bogaty repertuar, odwiedzaliśmy ciotkę Sabinę – w sklepie z butami, i „wujków"– w sklepach z gwoździami, śrubkami i żelastwem. Do tych sklepów chodziłam z tatą najczęściej. Dalej mijaliśmy park, by przystanąć w Małpim Gaju i posłuchać koncertu żab w sadzawce. Przystankiem był sklepik papierniczy na Łomaskiej, gdzie naciągałam tatę na plastelinę ... i zamknięty przejazd kolejowy. Ile radości było z odgadywania z której strony nadjedzie pociąg i jaki będzie. Lubiłam pasażerskie, z których podróżni machali do mnie rękoma.

Za przejazdem zaczynała się Wola, dawna dzielnica taty. Wszyscy go tu znali i on znał każdego. Skrzydlata brama i żołnierz na warcie chroniły wojsko i lotnisko. Dom babci stał przy samym lesie, do którego wstępu nie było, właśnie przez to wojsko i samoloty. Rekompensowali to drudzy dziadkowie, którzy las mieli tuż za szosą lubelską. Ileż razy przedzieraliśmy się gościnną gęstwiną nad stawy, kryjące się w jego dziewiczym wnętrzu. Lustrzane tafle porastały majestatyczne pałki wodne i aromatyczny tatarak, no i byli wędkarze. Tata pokazał mi też Krznę. Coniedzielne spacery na tamę stały się tradycją. Ile razy wpatrywałam się pilnie w drugi brzeg, na Sielczyk i Białkę, by spoza pól i samosiejek zobaczyć czerwony dach Zajazdu Radziwiłła i biały domek wujka Stefka.

Jakie jeszcze ścieżki wydeptały moje dziecięce nóżki w czerwonych sandałkach, jakie obrazy zapamiętały moje dziecięce oczy? Złote kaczeńce w Lutni, płynącej tuż za weselną stodołą, gdzieś na wiosce za Rossoszem. Widok z okna na wąski skrawek pola i ogrom dzikiej łąki tuż za nim, z małym dębem pośrodku, który rósł wraz ze mną. Ogromne kałuże, jak jeziora rozłożone na piaszczystej drodze przy Biawenie, tak głębokie, że można było puszczać kaczki. Smutek taty, gdy nie mógł jechać z Zośką do rodziców pierwszej żony, bo ci nie wybaczyli mu powtórnego ożenku. Delikatny powiew uczuć, jak ciepły letni wiatr. Krople miłości padające na duszę, jak ożywczy wiosenny deszcz. Uśmiechy i smutki przypominające złote zachody słońc nad jesiennie zamgloną rzeką i nieliczne ukąszenia lodowych iskier, sypiących się podczas zimowych zamieci.

***

*Tata przetarł wilgotne oczy wierzchem dłoni. Dowiedziono naukowo, że mężczyźni są słabsi emocjonalnie. Zmienił mamę ledwie godzinę temu. Ale może ... przepraszam, nie pomyślałam! Chyba w trakcie czytania dowiedział się, że jestem typową „córeczką tatusia".*

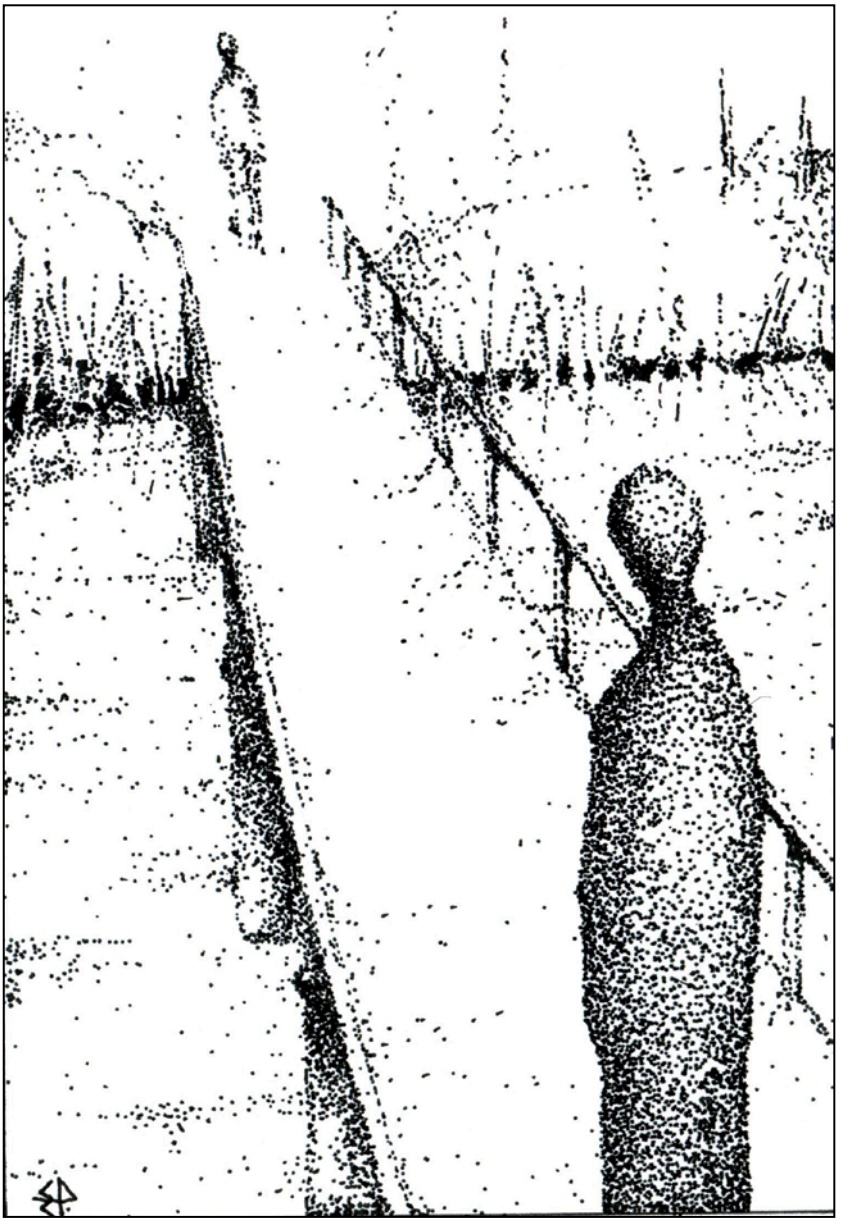

– Na dzisiaj chyba już starczy – zasugerowała siostra przełożona, kładąc tacie dłoń na ramieniu. – Nie można tak forsować pacjentki.

– Czy dzieje się coś złego? – wydukał tata.

– O … wręcz przeciwnie. Czytanie tych zapisków, chyba z najwcześniejszych lat, bo wiele też sami państwo dopowiadacie, działa na pacjentkę bardzo dobrze. Widzi pan, uśmiecha się. Puls też wyraźnie przyspieszył. Leki zaczynają działać. Proszę być dobrej myśli.

– Coś ty z sobą zrobiła? – *Poznałam ten śpiewny głos*. W odwiedziny przyszła Betka. Moja najlepsza przyjaciółka.

*Czas wracać z dębowego zagajnika, gdzie rozłożona wśród mchu szukałam wytchnienia od palącego słońca. Sąsiedztwo kotłowni wcale mi nie przeszkadzało. Znów zakwitły te małe, żółte kwiatki, niby słoneczne całusy, karłowate dzikie rumiany, zabawna lwia paszcza i letnie bazie kotki. A gdzie pachnąca miodem kocanka? Jeszcze tylko jeden krok, dalej za Włoską … Ale zaraz co ona mówi?*

– Tego w planach nie było. Miałaś siedzieć u mnie na werandzie i popijać cappuccino. A to co? Wylegujesz się. To nic, jeden raz ci się należy. Wysłuchasz mnie do końca i nie będziesz przerywać – *pogroziła palcem*. – Przypomnę ci, jak się poznałyśmy, a najlepiej szkołę od początku – *zaczęła czytać*.

***

Oszczędzono mi tułania się po przedszkolach, a było ich na osiedlu dużo. Kilka mieściło się w zwykłych blokowych mieszkaniach, ale Zośka chodziła do tego dużego, prawdziwego. Tata musiał ją tam zostawiać, bo w domu nie miał z kim. A kiedy mama została i jej mamą, Zośka musiała już tam chodzić, by odrabiać zerówkę. Właśnie chyba tylko tego niechodzenia do przedszkola mi zazdrościła. Mnie do zerówki też zapisał tata. Poszłam razem z nim. W szkolnej świetlicy siedziała jakaś pani i o coś mnie pytała, ale ja skupiłam uwagę na witrażach z bibuły. Pierwszy raz widziałam coś tak pięknego. Może przez to rozkojarzenie trafiłam do przygotowania szkolnego aż na Kąpielową, gdzie w zwykłych domach szkoła nadrabiała zaległości lokalowe. Szło się długo, jak na dziecięce nóżki, ale za to mijało cudowne widoki na stary dom z pruskiej cegły, pamiętający wojnę, plac, na którym budował się kościół z drewnianą salką katechetyczną i drewniane domy, pochłonięte wkrótce przez szkolną budowę.

Na początku, w zerówce, nie umiałam chyba nic. Bo co mogłam umieć przy takim Karolku … czytającym „Sztandar Młodych". Mój talent objawił się później, przy wizytacji, gdy recytowałam wierszyk o gruszkach i jabłuszkach. Książka „Mam 6 lat" nieustannie mnie ciekawiła. Za to od tam-

tej pory nienawidzę mleka, bo przed oczami staje mi śmierdzący spalenizną kocioł, a także dentysty, bo szkolna sadystka przy jednej poglądowej wizycie wyleczyła mi wszystkie zęby.

*Ty się nie śmiej – pogroziłam Betce. – To trzeba było przeżyć naprawdę! Jak epidemię świnki przed choinkowym balem i ospę w ósmej klasie.*

A propos, Karol mądrala jest teraz murarzem. A matka tak bardzo chciała zrobić z niego naukowca. W pierwszej klasie była nas prawie czterdziestka. Gromada nie do ogarnięcia dla współczesnej nauczycielki; rozbudowani byliśmy do kilku środowisk, podwójnych plastyk, i muzyk, i codziennego polskiego programu nauczania, nie do opanowania dla współczesnych dzieci. Było nas za dużo, a szkoła za mała. Dlatego mijałyśmy się z Zośką, bo ona szła na rano, a ja na $15^{30}$. Dopiero w trzeciej klasie otworzono nowy blok szkolny. Jak tam przyjemnie pachniało! Niestety, wraz z tą inwestycją zniknął wielce pożyteczny skup makulatury oraz plac na którym rozstawiał się cyrk … i można było karmić tam słonia. Gra w gumę, szatnia na korytarzu, lekcje w sobotę, religia w salce, angielski za pieniądze, radości i smutki, sukcesy i porażki. Jolka, która bała się siedzieć podczas burzy przy oknie, Grzesiek, płaczący przy tablicy, wiersze do pamiętnika, złote myśli, przyjaźnie, dorastanie bez internetu – to przyszło mi doświadczać.

Gdzie cię poznałam? Zimą, w szóstej klasie, na kole miłośników rosyjskiego. Ja przygotowywałam się do olimpiady, ty wyrównywałaś zaległości wyniesione z wiejskiej szkółki. Na początku trawił cię chyba syndrom tej gorszej, przyjezdnej, w znoszonym ubraniu, z piątką rodzeństwa u boku. Ale ja dostrzegłam twoją fantazję i te przyjazne fluidy. Mogłyśmy godzinę wracać w mróz, stać wiekami na skwarze i nie brakowało (i nie brakuje) nam tematów do rozmowy. I razem olałyśmy rosyjski. Czwórka to też ocena. Inne koleżanki były zazdrosne, bo nas obie fascynowały Indie, dowcipne kreskówki, tanie XIX- wieczne romanse i amatorski rock.

Poszłyśmy do tego samego liceum. Razem nocowałyśmy na biwakach, nienawidziłyśmy chemicy i ćwiczyłyśmy voo - doo na farbowanej Ance – Lizusce! Podrzucałam twoje walentynki do Jacka, a ty moje do długowłosego Krzyśka. A pamiętasz plany, by pójść razem na studniówkę jako para? Chciałaś się przebrać za chłopaka! I to twoje imię Bernadetta, dla którego wymyślałyśmy skrót, aż stanęło na Betka. Każdy się zastanawiał co to znaczy. Studia też wybrałyśmy w jednym mieście. Przyszła pani weterynarz i pani socjolog. Nasza pierwsza stancja, z kaflowym piecem, bardzo dobrze się sprawdzała w chłodne dni. Ludzie w blokach wówczas marzli przy wyłączonych kaloryferach. Rok w akademiku, to rok w domu wariatów, z któ-

rego uciekłyśmy do podupadłej willi emerytowanych komunistów, w której zamieszkałyśmy już na stałe.
*I teraz jesteśmy nierozłączne, pracujemy w jednym mieście. Nieeee, ty czasami jedziesz do pracy na wieś. Ale mieszkamy na jednym osiedlu* – szturchnęłam Bernadettę, bo gdzieś się zadumała.

– Poznałaś mnie z Maćkiem – *chlipnęła.* Kto mi będzie drużbował? Zostały tylko trzy miesiące. Komu oddam welon?

*No tylko mi! Tylko ja zostałam. Lilka i Kędzorek chajtnęły się przed Euro. Cóż z tego. Do dziś brak efektów, oprócz efektu znudzonych mężów uciekających pod byle pretekstem z domu i dziewczynek nieudolnie bawiących się w kuchni. U ciebie będzie inaczej, u mnie też, jak w końcu złapię ten welon. – Pogładziłam ja na pocieszenie po dłoni. – Wszystko będzie ok.! Na wieczór panieński zamówiłam ci przecież maharadżę, który śpiewa indyjskiego rocka.*

– Matko Boska, doktorze!!! – wydarła się Betka. – Ona chyba poruszyła dłonią!!!

*No i znowu zbiegowisko. Już nawet własna osobista przyjaciółka nie da spokoju. Wracam w cień zagajnika. Chyba przejdę się nad tamę. A co tam przejdę, polecę! Biały obłoczek jest taki miły i mięciutki. Krzywa wierzba płacząca szemrze języczkowymi listkami melodie starego mazura. Wtóruje jej wartki w tym miejscu nurt Krzny i śmiechy zadowolonych pszczół, spijających słodki nektar z miododajnego kwiecia. Położyłam się na białym piasku. Czasami znajdowałam w nim muszelki. Teraz mogę gładzić srebrne fale i popędzać w nauce pływania małe rybki. Jak leniwie mi w tym słonku.*

– Proszę pani, proszę się uspokoić. Tu potrzebny jest spokój i czas. Tak, widziałem jak pacjentka poruszyła dłonią i rozumiem pani entuzjazm. Ruchy gałek ocznych stają się coraz silniejsze. Zapewne jutrzejsze badanie tomografem wykaże znaczne wchłonięcie krwiaka i zmniejszenie obrzęku mózgu, ale wybudzenia nie przychodzą z reguły tak gwałtownie. Te wydarzenia zwiastują, że wszystko idzie ku dobremu. Proszę być dobrej myśli – zadowolony w duchu młody ordynator wyprowadził Betkę z entuzjastycznej histerii.

*Wiatr zaczął się wzmagać i ziębić moją opaloną postać. Na przybrzeżnej plaży nie było już tak przyjemnie. Wzbijam się wyżej w chmury, bliżej ciepła słonecznych promieni. Przysiądę na moście. Teraz jest niby nieczynny, ale tylko nieliczni stosują się do zakazu. Tu Krzna jest płytka, chociaż jak zawsze nieprzewidywalna i dzika. Widzę złoty piasek na jej dnie. Dla orzeźwienia spuszczam stopy. Muska je delikatna siła nienagrzanych fal.*

– Pamiętasz nasze jedyne koszmarne kolonie nad morzem? – pyta mnie Zośka.

*Zośka?! Zośka, skąd ty tutaj? No nie mów, że ściągnęli cię zza oceanu. Renata? Renata to babcia Zośki. Kiedy przestała się dąsać na tatę za jego powtórny ożenek została i moją babcią. Aleś ty sprytna. Przemyciłaś laptop i odpaliłaś Skyp'a. Nieprzeciętna z ciebie babcia. Inna osiemdziesiątka nie skumałaby co to komputer.*

A i kolonie pamiętam. Byłaś starszą harcerką, jakąś tam instruktorką, a ja zuchem. Miałam nawdychać się jodu, ale całe dnie szalał sztorm i wdychać można było tylko dym smażonych fląder. Śnił mi się ten zapach chyba z miesiąc. W namiotach stały kałuże i dopiero ostatniego dnia wyszło zimne słońce. Całe kolonie wróciły chore. Później omijałyśmy Bałtyk szerokim łukiem. Zawsze w lipcu jeździłaś do swoich dziadków do Konina. Tata żegnał cię ze smutkiem i ze smutkiem witał. Przez kilka dni chodziłaś jak rozdwojona, między naszym światem, a propozycjami dziadków – „zostań z nami na zawsze córeńko".

Ja w tym czasie jeździłam po Podlasiu, odkrywając to co tajemnicze. Mizar w Studziance, kryjący się w chaszczach, urocze kościółki Ortela i Kościeniewicz, dziwne kurhany z okolic Jaźwin i Łomaz, głębokie bory Witulina, łaskawe „wizerunki" z Leśnej i Kodnia, terespolską granicę, za którą majaczył potężny Brześć, dolinę Bugu, podziwianą w Neplach nie inaczej jak tylko w zachwycie … i radzyński pałac. To tylko nieliczne z wydeptanych ścieżek, a ile innych szlaków jeszcze nie przetarłam? Jak dawno nie byłam w stajniach Janowa Podlaskiego, na międzyrzeckim rynku? Czy w piszczackich lasach znów obrodziły jagody i czy GPS będzie znał drogę do muzeum w Romanowie?

A szkolne wycieczki. Najpierw te jednodniowe – standardowa Białowieża, teatrzyk w Lubinie, Warszawa – z obowiązkowym ZOO i Zamkiem Królewskim. Do dziś zostało mi, że na nich czuję się najlepiej. Mam przecież talent do układania ciekawych tras: trochę zabytków, plus Arkadia, Złote Tarasy, Plaza. I tęskni się krócej niż z biwaku w parczewskiej Białce, zlotu w Serpelicach, czy podczas wypraw z Betką w polskie góry.

Tęsknota jest najgorsza, bo zabija radość. Pamiętasz jak rodzice pojechali na dwa tygodnie do Włoch? Dzień za dniem skreślany z kalendarza i jakiś brak, mimo cudownej opieki dziadków. A pierwsze moje wakacje u Renaty? Fantastyczna jazda przez polskie niziny pól, łąk, lasów i przydrożnych zajazdów. To chyba lubię najbardziej. Nie cel podróży, ale samą podróż. Migotanie krajobrazu za oknem, rytmicznie wybijany takt. Jakże inne były dla mnie wielkopolskie okolice. Czyste sosnowe bory bez podszytu, w których nie bałam się zbłądzić. Dorodniejsze i dojrzalsze pszeniczne kłosy, nieznane kwiaty i zioła. Dom Renaty i Remka z nowościami, które na

wschodzie pojawiały się z kilkuletnim opóźnieniem. I Majorka z tobą! Ciepła wyspa z ciepłym morzem, gorącymi uczuciami, nachalnym Petrem i Pablem, poznanymi na plaży, kolorowe stragany z jarmarczną biżuterią. I kochane powroty do własnego łóżka.

– Wiesz, że tego feralnego dnia wysłałam ci wizę przez ambasadę? Spędzimy złotą jesień w New Jersey, a jak nie będziesz marudzić wykupię rejs nad wodospad Niagara – *obiecuje z wirtualnego świata Zośka.* – Tylko się zbudź!

*Wolę Kanion Kolorado – uderzam w klawiaturę laptopa ospałymi palcami, ale teraz nęci mnie piaszczysta ścieżka po drugiej stronie mostu. Czy to właśnie nią wielu ludzi skraca sobie drogę na Brzeską? Nie wiem, nigdy nie musiałam nią iść. Ciekawe jak tam jest? Chyba już czas przejść na drugi brzeg.*

– Byli państwo u ordynatora? – rodzice kiwają głowami na szczebiotliwe pytanie mikrutkiej stażystki. – Co za interesujący przypadek! Krwiak prawie się wchłonął, obrzęk i gorączka minęły. Sama robiłam ten malutki opatrunek … *i pokazuje na biały plasterek na mojej głowie.*

– Jutro będziemy rozintubowywać. Bo czasami poprawa zwiastuje też najgorsze – nie przemyślawszy, zasiewa ziarno wątpliwości w ukochanych sercach.

*Jednak nie przeszłam przez most. Przypomniałam sobie o kucach, które ktoś pasie na łące. Podejdę je nieoczekiwanie. Przedzieram się przez gęsto porosłą trzcinę. Przerosła mnie, tworząc brunatno zielony wał. Tuż przede mną ze schronienia wylatuje skromnie upierzona bażancica. Jej skrzek rozlega się nad łąką, ale czy to na pewno ona …*

– Cześć ciotka!

*Ten skrzek poznam wszędzie. Kto tu wpuścił to półdiablę? Niestety, to Wiolka, moja chrześniaczka u progu gimbazy. Odkąd zrzuciła róż i weszła w okres dojrzewania nienawidzi wszystkich. I z wzajemnością. Kto jak kto, ale ona wpędzi mnie w jeszcze głębszą śpiączkę.*

– Matka kazała mi przyjść i poczytać ci jakieś gryzmoły, chociaż wolałabym poszopingować z Lukiem po Rywalu i naciągnąć go na pizzę – mamrocze wyraźnie zła. – *Może i na szluga byś go naciągnęła – ironizuję. Czytaj, tylko nie dukaj.*

– Nudna jesteś ciotka. Co to za zapiski? Po co każdy z nich zaczynać prognozą pogody? Wczoraj padało bla bla bla … wyjść z domu się nie dało. Już drugi tydzień zaczynamy z trzydziestką na termometrze. Nagietki padają ze

zmęczenia ...bla, bla, bla. Trzeba poszukać czegoś ciekawszego. O jest … o twoich miłościach stara panno, a raczej stara ciotko ha ha ha.
*Ani się waż gówniaro – próbuję bezskutecznie dusić ją za szyję. – Nie dam ci więcej złamanego grosza na urodziny. – Niestety groźby nie przekonują Wiolki.*

Sama nie wiem, w kim zakochałam się pierwsza. W rodzimym Janku Kosie, z nieodłącznym Szarikiem u boku, czy w Robin Hoodzie, biegającym z łukiem po lesie Sherwood. To zależało chyba od układu programu telewizyjnego. Jeżeli „Pancerni" lecieli w soboty, to miłość należała się Jankowi, za to w poniedziałki Robinowi, bo wtedy nadawano jego przygody.

– Ciotka, ty chyba jakaś debilka jesteś?

*Czytaj dalej i nie komentuj, bo wylądujesz na łóżku obok, w jeszcze gorszym stanie.– Straszę, ale cóż mogę.*

W przedszkolu moim faworytem był gruby Filip. Miał takie ładne dołeczki w pucatych policzkach. Później schudł. W podstawówce połączono mnie z Tomkiem. Ja, dobra uczennica, on, wzorowy uczeń, wybitny w humanie i w matmie. Jednostronne zauroczenie, z kilkoma niewinnymi odskoczniami w bok, trwało prawie do końca liceum, kiedy wystawił mnie tuż przed studniówką. Okazało się, że jestem partią o niskim statusie społecznym. Przyznałam wtedy rację Zośce, która go nie cierpiała od pierwszego spotkania. To ja go odwiedzałam, to ja mu dogadzałam ciasteczkami, a on omamiał mnie filozoficznym bełkotem, wychodząc w tym czasie z innymi do kina i dyskotek. Miał nawet gotową odpowiedź na zdjęcie jakiejś laski w skąpej koszulce nocnej. Serca mi może nie złamał, ale unieruchomił na długo. Los go za to surowo doświadczył. Przesiedziawszy dwa lata w seminarium – tak, ksiądz to zawód na poziomie – przeniósł się na filozofię, po której sprzedaje telewizory w sklepie „nie dla idiotów".

– Dziecko, przestań się śmiać. To nie na miejscu. Może lepiej wyjdź – i doktor Konrad wypycha Wiolkę z sali.

*Dziękuję doktorze. Równy z pana gość – chwalę decyzję osobistego neurologa. I przystojny, z taką nutą elegancji, jak w kreacjach Żabczyńskiego w starym kinie. I te niebieskie oczy …*

– Coś się dzisiaj dzieje. Moja ulubiona pacjentka jakaś dziwnie pobudzona. Ma już dość snu? A może przez to dziecko? Poczytam dalej, nie można przecież przerwać terapii.

*Tylko nie to doktorze – jęczę w myślach, a mój puls przyspiesza.*

Moje serce wyleczyło się na studiach. Niestety, tylko na chwilę. Marek studiował prawo i połączyły nas wykłady do wyboru. Miał duże poczucie obowiązku, aż za duże. To był przewidywalny, nawet nudny związek, aż do pewnej propozycji wspólnego wyjazdu do stolicy, wspólnego mieszkania i samodzielnego prowadzenia domu panu prawnikowi. Po tym swoistym okresie próbnym miało się okazać co dalej. I okazało, że mój obowiązkowy wybranek nie do końca rozumiał znaczenie słowa „partnerstwo". Do dziś prowadzi mu dom ukraińska służąca.

Marne i jałowe są te moje doświadczenia z miłością. Może dlatego, że wszyscy moi męscy znajomi traktowali mnie jak dobrego kumpla, a nie dziewczynę i kandydatkę na żonę? Z kolegami z podstawówki właziłam na drzewa, bawiłam się w Indian i biłam drewnianym mieczem, jak średniowieczny rycerz. Tych z liceum słuchałam, doradzałam, przeprowadzałam przez mutacje i trądzik. Tych ze studiów swatałam i wtajemniczałam w zakręty kobiecej psychiki. I ciągle słyszałam: *Jesteś świetnym kumplem*. A niby przyjaźń damsko-męska nie istnieje? Gdzie jest ten chłopak, który zobaczy we mnie kogoś więcej niż przyjaciela? Gdzie jest mój książę, niekoniecznie na białym koniu?

– Może całkiem blisko – odpowiedział do kart pamiętnika doktor Konrad, przeczesując czarną grzywkę.

– Fajna z ciebie dziewczyna, o przepraszam kobieta … i na pewno fajny kumpel. To nieprofesjonalne z mojej strony, co mówię, ale zdarza mi się to po raz pierwszy w karierze, być może ostatni. – Za bardzo mi się podobasz śpiąca królewno i tuż po obudzeniu chciałbym poznać cię bliżej.

*Ho hme hohn – wymruczałam i wybiegłam na pastwisko zżółknięte od słońca.*

Konrad pochylił się zdumiony, zbadał puls i krzyknął nagląco: „Siostro!" . Podniósł też maseczkę tlenową.

– Co mówiłaś Doroto? – spytał.

– Pocałuj mnie jak w bajce – powiedziałam wyraźniej …

*i poczułam słodko – kwaśny smak … nie karminowych wiśni, obciążających wiotkie gałązki małego drzewka, ale … Otworzyłam oczy i spojrzałam w niebieskie … nie, to nie było niebo nad pastwiskiem. Spojrzałam ze zdziwieniem w niebieskie oczy księcia, który zbudził mnie pocałunkiem z przyjemnego snu, do całkiem przyjemnego życia. Uśmiechnęłam się leniwym kocim uśmiechem.*

– Witamy wśród obudzonych śpiąca królewno – puścił dyskretnie oko, bo przez drzwi do sali zaczęli już napływać członkowie konsylium. Łapczywie oblizałam spierzchnięte wargi.

***

Podlaskie niebo lśniło lazurem francuskiego południowego wybrzeża. Zefir ponownie rozwiał kłębiaste chmury, zostawiając z nich tylko cienkie jak nici białe smużki. Nieco spalona zieleń łąki kontrastowała z intensywnymi kolorami pospolitych kwiatów. Srebrzysta Krzna wiła się i opasywała okolicę szeroką wstęgą. Liście topoli i brzóz grały ze złotymi promieniami słońca w sobie tylko znaną grę. Latałam!!! Znowu latałam!!!

Ale teraz uskrzydlała mnie miłość zwykłego księcia-doktora i ... o zgrozo, dla moich rozpamiętujących ostatnie traumatyczne wydarzenia rodziców - jego motolotnia. Po wyjściu ze szpitala zamknęłam stare pamiętniki w pudełku po butach i odłożyłam w najciemniejsze miejsce na strychu. Czas pisać nową historię. Nie ma potrzeby marnować takiego fajnego brulionu. Tylko jak opisać podlaski zapach szczęścia?

*III nagroda*

***Katarzyna Smyk***
(Pieniężno)

# Jesień sprawiedliwa

1.

Przychodzi czas, kiedy odkładając szalik na półkę wiem, że tego wieczoru będę pisać. Przynoszę wtedy trochę kawy.

W domu nie rozmawia się zbyt wiele. Słowa padają wówczas, gdy trzeba nauczyć drugą osobę fragmentu rzeczywistości innej od zaparzenia porannej herbaty. Zastanawiam się nad momentem, który zaistnieje w życiu człowieka pomiędzy codziennością wymuszoną, a codziennością, do której się wraca po latach. Kiedy milknie się znów bardziej i bardziej. Patrzy na zapałkę, gdy błękitny u dołu, pomarańczowy u góry płomień, schodzi jak lawina w kierunku palca wskazującego i kciuka.

Protokół zdawczo – odbiorczy. Wypis z księgi wieczystej. Wydział Cywilny. Nie pasuję do tego świata.

Kwiat jabłoni. Kłos pszenicy. Drobne jabłka na pochylonych gałęziach. Płatek śniegu na płaszczu wchodzącego do ciepłego domu. Tym tylko jestem.

Mistrzowskie kobiety. Wszystkie, którym pisano po piasku. Obmywające stopy. Stojące pod krzyżem. Zbierające okruchy ze stołów. Zapłaczcie nade mną.

2.

Można było coś jeszcze zrobić – zawsze się tak myśli. Odchodzenie bliskich ma to do siebie, że bardzo kurczy czas. Mogło minąć półtora roku. A może to już trzy lata? A może trzy miesiące?

Jeżeli istnieją słowa, oddające zawieszenie między śmiercią, teraźniejszością, czy pamięcią, to proszę o takie. Pozostało mi kilka znaków, układających się w błękit oczu. Strach. Żółtawą twarz.
Słowa nie są w stanie oddać zapachów. Alkohol zawsze pachnie tak samo. Wydycha się bezradność.

Nie wiem, czy istnieje zgoda na odejście. Wszystkie te dzielne kobiety i mężczyźni, opiekujący się umierającymi bliskimi, do końca życia mogliby pozo-

stać w tych ułamkach danego czasu, gdy było się obok ukochanej osoby. Podawało morfinę i środki przeciwbólowe, a ukochanym, słabnącym dłoniom, wyślizgującą się łyżkę. Nigdy nie żegna się tych widoków.

Doświadczenie nie uczy nas niczego. Może tylko świadomości, że każdy moment jest obietnicą i wyzwaniem. Budzimy się już jednak bez snów.

3.

Słowniki. Dokumenty. Formularze. Notatki. Wszystko to tak bezduszne. Wszystko oddala od domu.

A przecież kilka lat temu prostowałam plecy, gdy tylko usłyszałam odlot żurawi. Aby przejść z jednego miejsca na drugie potrzebowałam jedynie psa, wygodnych butów i wyczekiwania ukochanej osoby.

Nikt nie powiedział, że w wielkim świecie będę musiała mieć twarz z lodu i słowa jak błyskawice.

Spontaniczność. Uśmiech. Wzruszenia. Gdybym nawet właściwie wyszeptała te słowa, człowiek rodem i mentalnością z wielkiej płyty popatrzyłby pobłażliwie.

Codziennie odchodzę coraz dalej. Każdego poranka budzę się pełna wspomnień.

W snach przyjaciele umierają.

4.

Każda opowieść o kobiecie, która kocha za mocno, zaczyna się tak samo.

Oni wszyscy są do siebie podobni. Prokuratorzy. Naukowcy. Wysocy, wyprostowani, czarujący.

Pewna kobieta, nazwijmy ją Dominiką, odwoziła każdego poranka takiego jednego do pracy. Sąd, bukiety róż, alkohol. Słowa, dużo pięknych i wzniosłych. Dominiki, Emilie, Katarzyny wieczorami bawią się w dania kuchni węgierskiej, wiedeńskie paszteciki i ciasteczka brownie.

Ja bym ci oddał wszystko
Lubię na ciebie patrzeć
Patrzę na ciebie i myślę
że jesteś bardzo sympatyczna

Czasem nie możesz skupić się na swojej pracy. Patrzysz na pochyloną postać, podchodzisz, aby ucałować jego szyję. Nikt nie ma pojęcia, skąd się bierze tyle czułości w kobiecie. Oplatanie jasnych włosów, układanie dłoni na dło-

niach mężczyzny. Cieszysz się, że jest tak bardzo pracowity. Zaglądasz przez ramię, podziwiasz równe notatki, daty, premie.

Każdy z nich mógłby być drugim Maliną. Albo Ivanem. Celanem, Saint-Exem, Nietschem. Te wasze szachy. Rozmowy o moralności, filozofii.

Być może mężczyzna jest tylko jedną, krwawiącą raną, wielkim szlochem i zmierzaniem ku ciemności. Ale nie możesz jeszcze tego wiedzieć.

Przeszkadzasz
Naturalnie że przeszkadzam
Jestem bardzo szczęśliwa
Dziękuję za kolejny miesiąc
Miesiąc trudny jakby gorszy
Ale przyjdą lepsze czasy
Wtedy też będziemy razem

Nie sypiasz dobrze. Każdego wieczoru prosisz o to, by nim zaśniesz on przyszedł. Poczekał na twój sen. Podnosi się ociężale znad biurka. Mamrocze zły pod nosem. Nie chcesz nawet przez moment dopuścić do siebie myśli, że właściwie nie jesteś do niczego potrzebna temu człowiekowi. Interesuje go tylko jego doktorat. Błysk wielkiego świata. Piękne, pachnące kobiety, córki sędziów, prymuski, którymi mógłby cieszyć ucho swoich rodziców.

Gdy masz swoje lat dziewiętnaście, kochasz tylko te wieczory, gdy Malina zwyczajnie przychodzi ułożyć cię do snu. Samotność, którą źle znosisz, nie wypełnia gwar europejskich ulic, mądrość tych przed nami, kroki po białym bruku, wieczory pełne zapachów w kuchni.

Nigdy nie powiedziałaś nikomu, że lubiłaś jego głowę ułożoną dostojnie nad tobą samą. Ramiona zaciśnięte wokół ciebie. Nigdy nie przyszło ci na myśl, że on wtedy myśli tylko o sobie.

Schudłabyś trochę
Nie zabiorę cię nigdy więcej
do mojej rodziny
Co ty sobie myślisz
Jesteś tak słaba, że żal cię zostawić
Kwiaty są różowe
bo wiem, że nie lubisz tego koloru

Czas sprawia, że widzimy wszystko w innym świetle. Mieszają się zdarzenia, słowa, poczucie pustki z uczuciem pełni. Wycinamy, szyjemy, przymierzamy się do czegoś co trwa, co dawałoby ulgę i nadzieję naszemu człowieczeństwu. Do tego by dopowiedzieć przed kropką „przydarzyła mi się pewnego razu miłość”.

Moja nieznajoma przyjaciółko. W uszach słyszeć będziesz nadal piosenki, słowa i bajki, legendy i mity. Pomimo tego, nad ranem, ułóż do snu przeszłość. Podejdź do okna, otwórz szeroko oczy, spójrz, ile przed tobą zachwytu tej jesieni. Spójrz ile liści już czeka, aby obdarować cię czerwienią, złotem i wiecznym *teraz*.

5.

To była wyjątkowo długa zima na końcu świata.

Na końcu świata nie udało się posprzątać po ostatniej wojnie. Właściwie to nie wszystkich poległych udało się godnie pochować. Czasem leżeli tak płytko w przydomowym ogródku, że starsze, przesiedlone Ukrainki, stwierdzały, że warto posadzić marcinki, aby przykryć żołnierzowi buty i złote zęby. Żołnierze długo po wojnie oczekiwali wieczorami na proste kobiety. Przestawali się ukazywać, gdy odnajdywano w rogu stajni skrzynkę z listami, negatywami, niemieckimi markami. Pospiesznie wołano księdza i nie mówiono o tym przy stole.

Wiele lat temu wyruszyłam w drogę z tego dziwnego świata duchów, cmentarzy i kurhanów. Za wcześnie dotknęło mnie przemijanie. W miejscu gdzie lasy są cichsze niż nieśmiertelniki człowiek uświadamia sobie szybko swą skończoność. Jako sześcioletnie dziecko z płaczem zadzwoniłam do znajomej. Przestraszyłam się, że któregoś dnia umrę. Nie było obok dorosłych. Być może dowiedzieli się o wieczności znacznie szybciej i nigdy już nie zaznali spokoju.

Strach zmazuje kolejne kilka pokoleń. Nie wolno mi winić nikogo za wojnę, o której mówi się częściej niż o meblach z Ikei. Każde pręgi po obozach należy w końcu pokochać, a zmarłym pozostawić ich cierpienie. Wyrzucić stare palta przywiezione z Syberii. Trzeba pozostawić listy miłosne, pisane z więzień. Odnowić drewnianą skrzynię w błękitne kwiaty. Trudno wyobrazić ją sobie stojącą pośród krów i słomy w bordowym wagonie.

Mijają lata i czasem się budzę. Staję z ojcem nad grobem tego, który pogodzony wiedział, że tu będę wśród pól każdej wiosny przychodzić na pogawędkę. Wiedziałam, że prawdziwi bohaterowie mocno się ukrywają. Patrzą w sierpniowe noce na perseidy i nie wiedzą, jak bardzo powinni się chronić przed światem. Opowiadają córkom o snach, fotografii, milczą pytani o błędy. Ukrywają swe prawdziwe twarze przed obliczem nieszczęśliwych, choć ukochanych żon. Rzadko która bowiem rozumie, że dla mężczyzn biały obrus to zaledwie nudny, lecz niezbędny przystanek. Na cmentarzu zdałam sobie sprawę, że dawno przeminęły żurawie, a na niebie nie dzieją się cuda.

Nie ma nic majestatycznego w widoku pól, białych jak brzuchy jaskółek. Myśli krążą wokół starej prawdy, że miłość i służba zakrywają wiele grzechów. Zmarli nie potrzebują by im przebaczano. O bólu mówić nie sposób.

A jednak przestraszyłam się, patrząc w dobre oczy ojca, że tego czasu mogłoby nigdy nie być, że mógłby zwyczajnie się nie wydarzyć. Przedłużam swoje pobyty, wędrując wśród zasp wdzierających się na drogę.

Księżniczka, czy też ruska kniahini, napełnia mnie pośród tych spacerów głębokim spokojem. Przyszła na ten świat pośród drewnianych, malowanych skrzyń, ikon … i w czasie, gdy nie mówiło się o trudnym dzieciństwie. Jej matka, jak każda wychowana bez ojca marzycielka, była pokorną, zaczytaną i dumną kobietą, budującą wokół siebie szacunek i ład. Takie kobiety kochają świat wokół siebie. Kochają synów, wymagają za wiele od córek, nakazując odwieszać marzenia na wieszak. Jak stare palto. W młodości była tak krucha i lekka jak czapla. Po słowiańsku trochę dzika. Duma jest jej jedyną bronią przy świątecznym stole. Nie wiedziałam, ile smutku stoi za każdym majestatem.

Dawno temu rozpoczęłam wędrówkę z czernią w sercu. Aż któregoś dnia dotarłam do krainy, w której nocami lekko siadałam na błyszczącej, migoczącej wierzbie. Obmywała mnie czysta woda, a jasność wypełniała jak spokojny sen. Budziłam się w bieli, zasypiałam bez wspomnień. Rozumiałam Mleczną Drogę i powracałam do świata pogodna.

***Jadwiga Mizińska***
(Lublin)

# Święta pamięć – subiektywne czytanie „marzeniodajni" Dominika Sobola

*Marzeniodajnia* ... jak jadłodajnia. Bo z niedosytu marzeń umiera dusza, jak z braku jadła ciało. Ale jedzenie to nie to samo, co konsumowanie. Jedzenie, to odżywianie, konieczne do codziennego odżywania. W Uniwersum Konsumpcji chodzi o połykanie i wydalanie, jedno i drugie jak najszybsze, by zwolnić miejsce na kolejny kęs gotowej i zapakowanej w plastik karmy. W wielkich supersamach, udających nazwą „galerie", można kupić wszystko. Wszystko, oprócz marzeń. Toteż Poeta omija składy gotowizny i poszukuje niezbędnej dla siebie strawy gdzie indziej – na zapomnianym i zapluskwionym przystanku autobusowym:

> *autobusy jeżdżą przez nasze zadupie jak*
> *na lekarstwo. wobec takiego stanu rzeczy*
> *zaadaptowaliśmy budynek do innych celów.*
> *ćpuny miejskie nazwałyby go lecznicą*
> *bądź wytchnieniem, my wolimy określenie*
> *marzeniodajnia*
>
> (przystanek autobusowy)

Gdy w Księdze Kultury główny tekst staje się miałki, czczy, a pomimo to ciężkostrawny, posiadający konsystencję pulpy (ukłony dla Kuby Wojewódzkiego za „pulp kulturę"), pożywnych treści trzeba szukać już tylko na marginesach. Udaje się to jednak tylko tym, którzy jak Dominik Sobol mają czelność żyć po swojemu, zamiast tuczących hamburgerów wybierających zeschniętą i nadpleśniałą skórkę prawdziwego chleba.

> *poświęciłem się przeżywaniu*
> *na swój sposób*
> *po dominikowemu*
>
> *uszanujcie to*
> *nie pokazujcie palcem*
>
> *radykałowie od siedmiu boleści*
>
> [nie płonę na świeczniku]

Przeżywanie po *dominkowo sobolowemu*, to szukanie pereł po śmietnikach, a życia – na cmentarzach. Wbrew dzisiejszemu kultowi młodości, kultowi sukcesu, kultowi użycia (mnóstwo kultów zastąpiło Kulturę), niemodny Poeta zwraca się ku najstarszemu, a zignorowanemu i wykpionemu Kultowi Przodków. Policzyłam! Z 15 wierszy składających się na pierwszą część tomiku, nazwaną „nie pokorność?", aż 8 odnosi się do staruszków, i to w dodatku dawno zmarłych. Wygląda to jak zaduszkowe wypominki, tyle że trwające dłużej niż jeden w roku Dzień Zmarłych. Posłuchajmy więc samej litanii tytułów: *Prababcia Eufemia, Nad grobem dziadka Jana, Stypa, Nad grobem dziadka Antka, Święta Góra, Umieranie dziadków, Nad grobem dziadka Jana (II), Pradziadek Dionizy* …

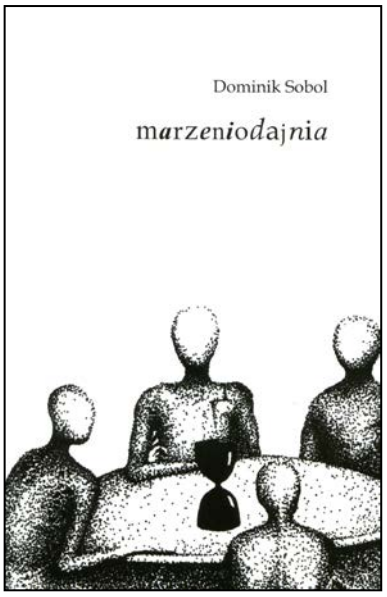


Dominikowa młodość, zamiast kierować wzrok w przód i do góry, odwraca się ku przeszłości. Lecz nie tej mu najbliższej – z „rodzinnego zdjęcia", ale jakby zza pleców rodziców ku pokoleniu dziadków i pradziadków.

Poeta wyłącza się z tłumu *biegunów*, tak zapędzonych, że nie mających czasu spytać: *dokąd i po co ten pęd?* Staje on nie tylko po to, by się chwilę za stanowić, lecz by móc spokojnie obrócić głowę do tyłu, przeczuwając być może, iż to co najważniejsze już było. Mgła, czad, smog, jaki nas otacza, łudzące „wszystko jedno", tak go widać zbrzydziły, że tęskni do takiego świata, w którym „nie wszystko było dozwolone". Gdy jedno było wyłącznie jedynym, a pojedynczy człowiek samym sobą, nie do pomylenia z nikim sklonowanym – podług sztancy. Jak wzywani po imieniu – niektórzy aż dwukrotnie – Eufemia, Antoni, Jan. Od tętniącego pośpiechem miasta Poeta woli cmentarze. Coraz mniej wspólnoty ma z rówieśnikami, mniej niż ze zmarłymi przodkami:

*coraz więcej nas łączy… i już się*
*nie boję*

(nad grobem dziadka Jana II)

Tym łącznikiem miedzy nimi, którzy w grobie, a ich wnukiem, który nad ich grobami, jest nadzieja na dowiedzenie się od nich *jak żyć?* Oni to wiedzieli, ich życie było proste, jednak pełne życiowej mądrości. Stąd prośba do jednego z nich:

*przyśnij mi się*
*chociaż raz*

*może być dzisiaj*

*brakuje mi drogowskazu*
*dokąd zmierzać*

(nad grobem dziadka Antka)

Dzisiejszy świat dorosłych ma dla młodych jedną tylko radę: *róbta, co chceta*. Zupełna swoboda. Całkowita wolność staje się jednak chaosem, a co najwyżej wolnością „spadania w różnych kierunkach". Dominik Sobol już wie ... zna cenę takiej wolności, upadania. Nikt mu w porę nie doradził, co warto chcieć, i czego warto nie chcieć? Zasmakowawszy zakazanych, zazwyczaj zatrutych owoców, doprasza się o wskazówki i drogowskazy:

*rozmowa ze zmarłymi jest swego rodzaju*
*błaganiem o wskazówkę*

Wskazywanie nie jest ani zniewalaniem, ani nawet pouczaniem. Drogowskazy mówią jedynie: jeśli skręcisz w lewo, dojdziesz tam, a jeśli w prawo, to ówdzie. Teraz wybieraj sam. Dominik oczekuje podpowiedzi, w którą pójść stronę, by natrafić na coś naprawdę ważnego, wartościowego, istotnego, a nie tylko modnego, czy wygodnego. Pragnie wolności przywiązywania się do czegoś takiego, co uchroni go od zmarnowania życia. Istotnego. Tym samym wolności od spadania, a zarazem wolności do wznoszenia się ku takiemu niebu, które nie zabija, jak to się przydarzyło pradziadkowi Dionizemu.

To zmarli, którzy już wszystko mają za sobą, odległe ogniwa wspólnego łańcucha, mogą mu pomóc odnaleźć zagubiony klucz do prawdziwego skarbca. Znaleźć go bowiem można nie w przestrzeni zmakdonaldyzowanej, jednorodnej i przeraźliwie nudnej, ale w ubiegłym czasie.

Słowem, które otwiera Dominikowy Sezam, okazuje się PAMIĘĆ. Podpatrzył je u sąsiadki z naprzeciwka:

*opiera się na kijach wystruganych przez*
*świętej pamięci męża*
*stwierdza zgon*
*zdrapuje dziewięcioletniego*
*futrzaka z asfaltu*
*modli się trzykrotnie w kierunku cerkwi*
*powtarzając głośno*
*Hospodi pomiłuj*

(sąsiadka z naprzeciwka)

Pamięć przeszłości, uwaga dla starości – żywego jeszcze muzeum takiego świata, gdzie Bóg ma w opiece nie tylko ludzi, ale psy, koty i wszelkie stworzenie, to tęsknota do tego, by każde życie warte było miłości i opłakania – gdy się kończy. Do przeciwieństwa miałkości i bylejakości. Również bylejakości miłości, mylonej tak często z seksem:

*masz przynajmniej namiastkę*
*miłości*
*czułości*
*związku*

*nie przeklinasz z powodu pustki*
*a to już coś*

[masz przynajmniej]

Poeta puka do kolejnych drzwi z lękiem, że znowu odpowie mu owa pustka. Albo „baranie dyktatury". Albo udzielającego „korepetycji pozbawiania złudzeń". Miota się między nadziemnym światem żywych trupów, i tym podziemnym, przemawiającym doń w snach głosami przodków. I tak, jeden po drugim mijają mu „dni pismaka". Na szczęście Dominik, wnuk Jana, Antoniego, prawnuk Eufemii i Dionizego, ma –pewno po nich– poczucie humoru:

*kolejny wers*
*kolejne wersy*
*kolejna chwila przyjemności*

(dzień pismaka)

… także przyjemności dla czytelnika, który nie znudzi się wędrując z Poetą, już to na pusty przystanek autobusowy, już to na cmentarz, już to na Świętą Górę. I wielkich zaskoczeń nieoczekiwanym mistrzostwem, takiego jak to haiku:

*cztery ściany ciągle milczą*
*samotności należy wymierzać*
*najwyższy wymiar kary*

*codziennie*

(sms pisany do)

W gronie znakomitych poetów Podlasia przywitajmy Dominika Sobola z Terespolu n/ Bugiem. Już nie musimy się smucić z Henrykiem Kozakiem „Balladą o przemijaniu". Ci co przeminęli, nie przestają być potrzebni tym, co dopiero nadchodzą.

Dominik Sobol, *Marzeniodajnia*, Biała Podlaska 2014, Miejska Biblioteka Publiczna, Towarzystwo Miłośników Podlasia s. 96

***Paweł Gocko***
(Warszawa)

# Czas mija szybko … a dwie godziny mogą zdecydować o losach.

Dwie godziny to pewien okres czasu, który w różnych momentach naszego życia możemy określić jako długi, bądź krótki. Dla studenta siedzącego na nudnym wykładzie lub dla pacjenta oczekującego w kolejce do lekarza jest to czas niewątpliwie długi, który chętnie chciałby skrócić. „Dwie godziny", wzięte w cudzysłów, stanowią natomiast wspomnienia ludzi, którzy opisują ten czas jako o wiele za krótki. Za krótki dla tych, którzy musieli spakować swój dobytek, porzucić dorobek całego swego życia, przymusowo opuścić – czasem na zawsze – swoją Małą Ojczyznę i wyjechać w nieznanym kierunku, do obcej ziemi.

Temat przesiedleńczej akcji „Wisła" jest wciąż tematem trudnym, podobnie jak powracanie do innych, tragicznych wydarzeń wojennej zawieruchy XX wieku. Mimo tego, iż z biegiem upływających lat historycy mówią o niej coraz częściej, to wciąż nie stanowi to łatwej kwestii w politycznych relacjach polsko-ukraińskich. Przymusowe wysiedlenia na tzw. Ziemie Odzyskane w 1947 r., jak również poprzednie do Związku Radzieckiego (w latach 1944-1946), na zawsze zmieniły oblicze Małej Ojczyzny, z której musieli emigrować. *To nie była ziemia przyjazna prawosławnym,* jak mówi Mikołaj Denesiuk, jeden z przesiedleńców i bohaterów książki. Inny spośród nich, Jerzy Romaniuk, dodaje: *Byłeś prawosławny, to trzeba było cię zniszczyć.*

Jednym z zamysłów organizatorów akcji „Wisła" było bowiem zlikwidowanie cerkwi prawosławnej na tych terenach. Nie wydaje mi się, aby ktokolwiek z nich mógł wówczas przypuszczać, iż kiedyś powstanie taka memoriałowa książka jak ta, której autorami okazali się członkowie Bractwa Młodzieży Prawosławnej Diecezji Lubelsko-Chełmskiej, diecezji, której przecież zgodnie z założeniami „miało nie być". Prawosławie, mimo wszystko, wciąż jest tutaj żywe, a niektórym wysiedlonym udało się nawet powrócić w swoje rodzinne strony. Członkowie młodzieżowego bractwa bardzo często są potomkami tych przesiedleńców. Zdają sobie oni sprawę z tego, że wydarzenia z przeszłości i dokonania ich przodków bezpośrednio wpływają na ich własne, teraźniejsze życie, na miejsca zamieszkania i wiarę prawosławną, którą dziś mogą swobodnie wyznawać. Temat akcji „Wisła" jest zatem dla nich równie bliski, jak dla ich dziadków. Nie ukrywam, że jest bliski również dla

mnie, gdyż i moi dziadkowie byli wówczas wysiedleni na Mazury - z terenów Podkarpacia. Dlatego jestem pełen podziwu i uznania dla prawosławnej młodzieży, której udało się zmobilizować, zorganizować i zrealizować „ze wszech miar pionierski projekt", jak zauważył to we wstępie abp Abel, pod bardzo wymownym tytułem „Uczmy się tolerancji na błędach historii".

Książka „Dwie godziny" składa się z dziewięciu rozdziałów, które opisują wspomnienia mieszkańców z dziesięciu miejscowości na Chełmszczyźnie i Południowym Podlasiu – Jabłecznej, Białej Podlaskiej, Kobylan, Zahorowa, Zabłocia, Kodnia, Międzylesia, Chełma, Hrubieszowa i Tarnogrodu. Nie jest to jedyna tego typu książka, zawierająca wspomnienia z tragicznej akcji „Wisła". Wcześniej powstawały podobne pozycje, jednak przeważnie były ukraińskojęzyczne (np. „1947", wydana w Warszawie w 1997 r.). „Dwie godziny" są natomiast wydaniem w większości polskojęzycznym (nie licząc dwóch rozdziałów w języku ukraińskim), w którym jedynie niektóre cytaty zachowane zostały w języku oryginalnym, jednak przetłumaczone w przypisach na język polski. Dzięki temu czytelnik odnosi wrażenie, jakby istotnie słuchał opowieści z dawnych lat – starszego i doświadczonego człowieka. Może mu się wydawać, jakby osoba ze zdjęcia książki naprawdę siedziała tuż przed nim i opowiadała historię swego życia. Czytelnik ma dzięki temu możliwość wczucia się w role autorów. Młodzież, która podjęła trud odnalezienia osób, które przeżyły tamte wydarzenia oraz nakłonienia ich do rozmowy na te trudne tematy, do których często nie chciałyby wracać, wykonała niezwykłą pracę. Przez wiele lat swojego życia w państwie socjalistycznym ludzie bali się rozmawiać o tych bolesnych wydarzeniach, mówić w swoim ojczystym języku – nawet we własnym domu, chodzić do cerkwi i jakkolwiek otwarcie okazywać swą narodową lub religijną tożsamość. Znam to z własnego rodzinnego przykładu, stąd wiem, że nawet dziś, po tylu latach, strach przed prześladowaniem jest wciąż obecny wśród wielu żyjących osób, które doznały w tamtych czasach cierpień. Grupie inicjatywnej projektu książki udało się zebrać wspomnienia aż czterdziestu pięciu osób, co w tej perspektywie jest niewątpliwie olbrzymim osiągnięciem.

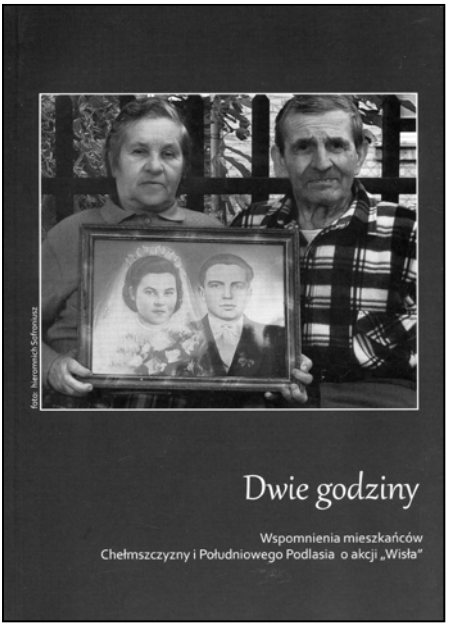

Czytając wspomnienia bohaterów książki można zauważyć, iż wynika z nich kilka wspólnych elementów, które łączą się ze sobą. Nie tylko ogromny żal i niedowierzanie z faktu, iż trzeba nagle i na zawsze opuścić swój własny dom, ale przede wszystkim strach i obawy przed tym, co będzie dalej … i te same, ciągle powtarzające się pytania: *Dokąd nas wiozą?, Co z nami zrobią?* Wielu obawiało się nawet, że wojsko zamierza utopić ich w morzu. Ten strach i niepewność dnia jutrzejszego, w obliczu dopiero co minionego wojennego piekła, są jak najbardziej zrozumiałe. Opisane przez młodych wspomnienia dla obecnych i przyszłych pokoleń stanowią przestrogę. Skłaniają do zadumy nad naszym codziennym życiem. Mimo tego iż, jak się nam wydaje, żyjemy w dzisiejszej Europie w spokoju i pokoju, to nigdy nie możemy być pewni co przyniesie jutrzejszy dzień. Wojny i cierpienia wielu ludzi, przymusowe migracje, są rzeczywistością także współczesnego świata. Nie możemy też zagwarantować, że kiedyś znów nie będą dotyczyły naszych ziem.

Książka „Dwie godziny", jako pozycja historyczno-memoriałowa, jest godna polecenia wszystkim. Przykłady historii (jej błędów) uczą nas bowiem, że mamy obowiązek dbać i modlić się o pokój na świecie, aby następne pokolenia nie cierpiały z powodu błędów przodków. Czas mija szybko, a dwie godziny mogą zdecydować o losach, nie tylko jednego człowieka, ale i całego świata …

*Dwie godziny: wspomnienia mieszkańców Chełmszczyzny i Południowego Podlasia o akcji „Wisła"*, Lublin-Biała Podlaska 2013

***Walentyna Gorbaczewska***
(Brześć, Białoruś)

# Pomilczmy razem … czyli złota zasada w poezji Anny Korólczyk

Wierni czytelnicy „Podlaskiego Kwartalnika Kulturalnego", a również „Biblioteczki" poetyckiej tegoż pisma, najprawdopodobniej zauważyli, że autorkami wydawanych w Białej Podlaskiej zbiorków wierszy są głównie młode poetki: Katarzyna Sawczuk, Joanna Sawicka, Agata Szczodrak, Paulina Maciejuk, Weronika Iwaniuk i in. Nie są to oczywiście opasłe tomiska, lecz około kilkudziesięciostronicowe książeczki, w których redaktor naczelny tego podlaskiego wydawnictwa zebrał wszystko to, co początkujący literaci pisali najpierw do szuflady, później nieśmiało drukowali na łamach regionalnych periodyków, by w końcu, dzięki finansowemu wsparciu Prezydenta Białej Podlaskiej, opublikowane zostało w samodzielnych wydawnictwach zwartych. Fakt, że podlaskie nowinki literackie kojarzą się ostatnio nie tyle z publikacjami czasopiśmienniczymi, co eleganckimi tomikami tejże serii, jest wielce obiecujący. Oczywiście, zanim pojawiła się „Biblioteczka PKK" trudno było coś takiego sobie wyobrazić, by młody człowiek, piszący wiersze, mógł je ujrzeć nawet w lokalnych periodykach.

Śmiało więc można stwierdzić, że „nieśmiałe" ścieżki młodych poetów regionu bialskopodlaskiego w ciągu ostatnich kilku lat uformowały się w szeroki szlak. Zjawisko to jest w jakimś stopniu fenomenem we współczesnej poezji południowego Podlasia. Każda też ze „ścieżek" zasługuje na baczną uwagę, odrębny jej opis, charakterystykę. Na przykładzie twórczości początkujących literatów można prześledzić w jakim kierunku zmierza poezja młodych, co jest im bliskie, co niepokoi, co wzrusza i uskrzydla, dokąd prowadzi ich droga. Poetycki zbiorek Anny Korólczyk «pomilczmy razem» to ścieżka z numerem siedemnastym (numer serii „Biblioteczki PKK"). Spróbujmy zatem przejść się nią, w ślad za Anną.

Jak nie byłoby trudno w to uwierzyć, to jednak dziewczyna urodzona w 1987 r. zalicza się już do znanych poetek, jeśli nie w dużej, to przynajmniej w swojej małej ojczyźnie. Jest autorką zbiorku wierszy, to znaczy docenioną już poetką, czego nie da się zakwestionować. Książeczka Anny liczy siedemdziesiąt osiem stron. Jej wiersze podzielne zostały na trzy rozdziały: *w naszych ogrodach; w cieniu rzęs; w szeptach z daleka*. Nie wiemy, kiedy napi-

sany został jej pierwszy wiersz, bowiem w zbiorku nie są one datowane. Nie jest to jednak najważniejsze. Zadebiutowała w 2011 r. w „Gościńcu Bialskim'' oraz „Podlaskim Kwartalniku Kulturalnym". Z okładki tomiku, pozwalającej zapoznać się z biogramem autorki, dowiadujemy się, że mimo bardzo młodego wieku jej wiersze pokonały nie tylko granice językowe, ale i państwowe. W 2013 r. jeden z wierszy wydrukowany był w białoruskim miesięczniku literackim „Malodost" (Mińsk). Szkoda, że tylko jeden; należy mieć nadzieję, że wkrótce będzie ich więcej (o ile mi wiadomo planowane są kolejne). Tak więc, chociaż czytałoby się go wielokrotnie, wyuczyło na pamięć, poetę nas podstawie jednego wiersza trudno rozpoznać.

Wiersze Anny Korólczyk znane są rosyjskojęzycznym czytelnikom Nowego Jorku („Intelligent"), a i przeczytać je można na stronach powszechnie dostępnego Internetu. Na międzynarodowym portalu literatur słowiańskich Olgi Lalić-Krowickiej (poezija.com.pl) poezja Anny zaprezentowana została zarówno w języku polskim, jak i rosyjskim (w tłumaczeniu Tatiany Nałobiny). Wiersze, jak młoda wiosenna trawa, wyrywają się ku nam zewsząd – z czasopism, z książek, z Internetu. Publikowanych opinii na temat wierszy Anny Korólczyk nie znalazłam, co mnie nawet ucieszyło. Najwidoczniej jest zbyt młodą osobą, aby krytycy łamali sobie głowy i pióra przy ocenach jej utworów. Nie naruszając więc tradycji, otwieram zbiorek. Jeśli krytyk nic nie wie o poecie, to obowiązkowo powinien przeczytać jego wiersze – od pierwszej do ostatniej strony. Spoglądam, dokąd mnie wiedzie poetycka ścieżka Anny.

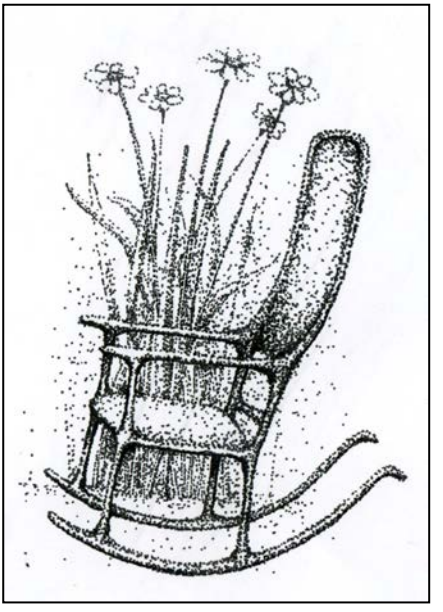

*W naszych ogrodach.* Rys. A. Sawczuk

Wstęp do tomiku napisał Radosław Plandowski. Świadomie pominęłam jego treść, aby pozostać w swoich ocenach niezależną od opinii innych. Już od pierwszych stron zauważam, że Anna pisze swoje wiersze dziecięco prostymi, nieskażonymi porównaniami i alegoriami, używa też sentymentalnego języka. Po prostu, zaczyna rozmowę i nie próbuje (może jej na razie się nie udaje, tak jak „prawdziwym" poetom) pomieścić w jednym wierszu całe swoje życie i cały swój świat. Najprawdopodobniej są to urywki zdarzeń, przeżyć, uczuć, które nie ułożyły się jeszcze w określoną mapę życia. Anna jest młodą, impulsywną, dynamiczną dziewczyną, stąd i nie ma czasu na mozolne pudrowanie. O czym pisze, i co pisze, to od razu już napisane: chce się pisać – to

piszę, co napisałam – to napisałam. O czym jej wiersze, co ważnego ma do powiedzenia, aby ją usłyszeli?

Bohaterka utworów Anny jest w takim wieku, kiedy opuszcza się rodzinne gniazdo. W istocie jest jeszcze dzieckiem, bowiem każdy swój życiowy krok porównuje z potencjalnymi ocenami matki. Co powiedziałaby mama, jak by zareagowała?

*wieczorem przyjdę się wypłakać*
*w sztywny kołnierz twojej marynarki*
*i w kieliszek czerwonego wina*
*(mama nie byłaby z tego zadowolona)*

Jak z tego wynika, matka Anny zajmuje jak na razie główne miejsce w jej życiu; poświęca też dla niej jedne z najładniejszych strof tego zbiorku. W swoich utworach chce zatrzymać czas, przedłużyć dzieciństwo, młodość, pozostać pod niezawodną opieką rodziny. Ufnie wkłada swoją dłoń w mocną i pewną dłoń ojca, dedykując mu jeden z utworów:

*zawsze lubiłam cię słuchać*
*opowiedz mi bajkę na dobranoc*
*i niech w końcu będzie to*
*na prawdę dobra noc ...*

„Gdy dzieciństwo piosnkami rozgrzane, wtedy trudno mówić o jakimkolwiek nieszczęściu", powiedział kiedyś jeden z poetów, poświęcając swoje życie Bogu[1]. Dzieciństwo Anny ocieplane było pieśniami, baśniami i miłością rodzinną. I właśnie rodzinie poświęcony został jeden z początkowych wierszy zbiorku («Rodzicom»). Poświęca im swoje milczenie, którym o wiele piękniej mówi od wszelakich słów o miłości:

*pomilczę do was o tym*
*jak bardzo głośno was kocham*

Rodzicielska miłość jest dla Anny kompasem w jej dorosłym życiu. Być może sama sobie tego nie uświadamiając, wszystkie sprawy i zachowania ocenia przez ich pryzmat. Uczy się Anna od rodziców tego, co tak bardzo potrzebne jej w życiu:

*uczę się od was*
*miłości*
*cierpliwości*
*świadomości…*

[1] Ojciec zakonny Roman

I chociaż wiersze Anny przepełnione są samotnością, co właściwie przynależne jest tego rodzaju utworom, gdzie nie spojrzeć spotyka się tych wszystkich, z którymi żyła i żyje, o kim myśli, komu powierza swoje uczucia, za kim się ogląda. W jej wierszach nie ma niespodzianek, które porażałyby lub niepokoiły; są to raczej małe fragmenty niezbyt skomplikowanego życia młodej poetki, z dużą ufnością opowiedziane nam wszystkim.

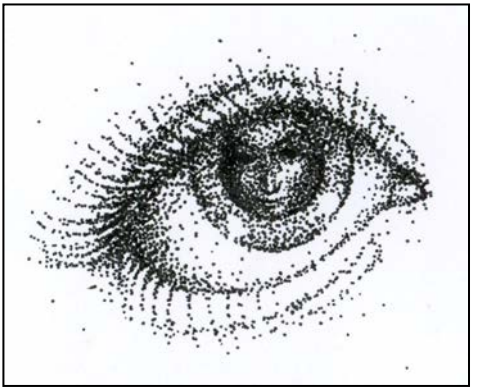

*W cieniu rzęs*. Rys. A. Sawczuk

Wiersze Anny nie mogą nas wiele nauczyć, bowiem poza nią jest ledwie krótki okres życia. Jednakże brak doświadczenia życiowego w żaden sposób nie wpływa na jakość tych wierszy. Dla niej samej czasami bardzo trudno jest rozróżnić tak proste pojęcia, jak dobro i zło. Tego nie są w stanie nauczyć pedagodzy, tego uczy życie! Doświadczenie życiowe, «syn błędów trudnych», które każdy powinien przejść sam. To dlatego spowiada się Anna ze wszystkiego, z tego co dobre … i z tego co złe.

*spowiadam się ze wszystkiego*
*bo nie wiem*
*co jest dobre*
*a co złe*
*nie nauczyli mnie tego*
*pedagodzy*

Anna, jakby nie było jej dobrze z rodzicami w rodzinnym domu, wybiera swoją drogę, żegnając się z wdzięcznością za wszystko co otrzymała, unosząc z ojczystego domu wszystko, co najczystsze i najjaśniejsze. Dla niej, tak jak przystoi dziewczynom w młodym wieku, tak bardzo właściwa jest dziewczęca lekkomyślność. Rzucone przez kogoś słowo może w sposób zasadniczy zmienić jej opinię o człowieku. Przypadkowa okoliczność zmienia nastrój, mało znaczący drobiazg może uczynić ją maksymalnie szczęśliwą, lub maksymalnie nieszczęśliwą:

*rano pożyczysz żółtą bluzkę*
*znowu wszystko będzie dobrze*

Jak każda młoda dziewczyna, która bierze się za pisanie wierszy, tak i Anna staje przed wyborem: czy pisać wiersze, „męczyć się” nad każdym słowem, nad każdą frazą, i być nieszczęśliwą, czy gotować dla kochanego

człowieka i *czytać wiersze nieszczęśliwych poetek.* Wychodzić za mąż, czy nie? Jej pragnienie dzielenia z kimś szafy i serca świadczy w tym miejscu o niezdecydowaniu, o trudnościach w wyborze, o wątpliwościach. Anna doskonale rozumie, aby stać się prawdziwym poetką, służącą słowu, powinna wykorzeniać z siebie to co ziemskie, co nie ma związku z twórczością, nawet gdyby czyniło ją to bardziej nieszczęśliwą. A jednak, jak żyć bez prostych kobiecych radości, zwyczajnego szczęścia, a i czy służba muzom warta jest ponoszenia takich ofiar?

Najbardziej przerażają Annę rozstania i powroty. Cóż bowiem znaczniejszego niż bojaźń może być dla młodego serca? Oczywiście, miłość! Dziewczyna niezauważalnie wydorośla. Cóż, taki jest paradoks życia: dzieci rosną powoli, a dorastają szybko. Potrzebny jej ktoś, kto by ją kochał, prowadził przez życie za rękę, by dzwonił ktoś inny, niż ojciec. Wszystkie jej myśli o miłości, całe życie, trwa w oczekiwaniu na tą Wielką. Tak wielką, jak „ocean", która na jawie i w snach, która zabiera nie tylko ciało. No i miłość przychodzi:

*poukładałeś mój chaos*
*na półkach bałaganu*
*otarłeś zakurzone łzy*
*ze zmarzniętych policzków*

*moją rozczochraną harmonię*
*uczesałeś w dwa warkocze*
*wspólnego roku*
*pełnego ciepłej szarości*

*od wiosny do wiosny*
*byłeś wszystkim*

*teraz nie ma nic*

Dziewczyna dorośleje i zaczyna rozumieć, że …

*miłość*
*nie jest taka prosta*
*jak kiedyś*
*mogło się wydawać*

… że nie jest to rodzicielska miłość absolutna, nie wymagająca od ciebie niczego w zamian. Miłość niesie z sobą również ból i rozczarowania. Ale Anna pewnie jeszcze nie zetknęła się z taką miłością, o której chciałoby się nie milczeć, nie szeptać, ale krzyczeć na cały głos. Będzie jeszcze dużo wszystkiego

w życiu, czego będzie musiała doświadczać samodzielnie. Rozumie zresztą, że przed nią jeszcze bardzo długa „droga”:

*jeszcze tyle*
*niezapisanych stron*
*nowych rozdziałów*
*niedokończonych spraw*

*mam tyle miejsca*
*na nowe myśli*
*i kolejne słowa*

*bo zostało jeszcze*
*tyle do zrobienia*

Należy życzyć Annie Korólczyk, aby w jej życiu znalazło się jak najwięcej miejsca na prawdziwą miłość i … na prawdziwą poezję. By towarzyszyły jej autentyczne natchnienia, by udało się zrealizować wszystkie zamysły i pomysły. Powodzenia!

***

Jak zawsze zaskoczona jestem zbieżnością treści tomików poetyckich „Biblioteczki Podlaskiego Kwartalnika Kulturalnego” z ilustracjami Arkadiusza Sawczuka, pomieszczanymi czy to na okładkach, czy przy rozdziałach. Mona Lisa … i stateczna artystyczna kompozycja. To także symbol wyrażający zasadę «nie widzę zła, nie mówię o tym co złe», wyniesiony z książki Konfucjusza (Kong Fuzi): «Nie patrz na to, co przeczy przyzwoitości; nie słuchaj tego, co przeczy przyzwoitości, nie mów tego, co przeczy przyzwoitości, nie rób tego, co sprzeczne z przyzwoitością». W jakże prostym rysunku udało się połączyć i mądrość Konfucjusza … i wieczną tajemnicę Giocondy.

Anna Korólczyk, *Pomilczmy razem*, Biała Podlaska 2014, Miejska Biblioteka Publiczna, Towarzystwo Miłośników Podlasia, s. 81

Tłum. z jęz. rosyjskiego:
*Grzegorz Michałowski*

**Zatrzymane w kadrze**.

09 października 2014 r. w Dziale Wiedzy o Regionie Miejskiej Biblioteki Publicznej w Białej Podlaskiej miało miejsce spotkanie z pisarką Martą Berowską. Od wielu lat jest ona członkiem Związku Literatów Polskich oraz Ogólnopolskiego Klubu Poetów. Marta Berowska zadebiutowała w Warszawie; pierwszy konkurs literacki wygrała w 1971 r. – w warszawskich "Hybrydach". Jest autorką liczących się zbiorków poezji, takich m.in. jak: "Za kurtyną z koralu", "Ścieżki polskie" (drugi obieg), "Szczury Pana Boga", "Róże Augusta Rodina". Za popularyzację poezji wśród młodzieży szkolnej wyróżniona została odznaką Zasłużony Działacz Kultury (1997), otrzymała również Nagrodę I Stopnia Burmistrza Gminy Warszawa - Bielany (2000). Podczas spotkania pisarka przekazała bialskiej bibliotece album ze zdjęciami, na których zatrzymano w kadrze codzienne życie Państwowego Gimnazjum im. J.I. Kraszewskiego w Białej Podlaskiej (obecnie I LO im. J.I. Kraszewskiego). W albumie umieszczone zostały fotografie z 1934 r., które następnie ofiarowano ówczesnemu kuratorowi lubelskiemu Stanisławowi Lewickiemu – dziadkowi Marty Berowskiej. Ich autorem był Fochtman vel Chofman Lucjan, uczeń w/w gimnazjum (świadectwo dojrzałości otrzymał w roku szkolnym 1934/1935).

**VI Bialski Festiwal Okołoliteracki:** ***porządnie opowiadać ciekawe historie***

Kolejny Bialski Festiwal Okołoliteracki („porządnie opowiadać ciekawe historie") jest już za nami. Dwa festiwalowe dni przebiegły zgodnie z oczekiwaniami. Publiczność dopisała, zarówno wtedy, kiedy swój wykład prezentował dr Jerzy Flisiński, jak i podczas spotkania autorskiego z Tadeuszem Słobodziankiem. Wyświetlony został m.in. film, zrealizowany przez absolwentów IV LO im. St. Staszica, za który młodzież uzyskała I miejsce w międzynarodowym konkursie organizowanym przez instytut badający historię Żydów w Europie: „Już ich nie ma …śladami społeczności żydowskiej

w Białej Podlaskiej". Film zachwycił zebranych szczególną wnikliwością i dojrzałością twórczą. Wykład dr Jerzego Flisińskiego umożliwił zapoznanie się z historią Żydów na Ziemi Bialskiej, która swoimi początkami sięgała wieku XVI. Można było również obejrzeć wystawę ze zbiorów Działu Wiedzy o Regionie Miejskiej Biblioteki Publicznej w Białej Podlaskiej pt. „Żyli wśród nas", dotyczącą mniejszości żydowskiej, w minionych wiekach licznie zamieszkującej Południowe Podlasie, głównie Białą Podlaską, Siedlce, Międzyrzec Podlaski, Janów Podlaski oraz Terespol. Na wystawie zaprezentowane zostały książki, artykuły z czasopism regionalnych oraz fotografie. Oprócz opracowań o charakterze naukowym znalazły się również wspomnienia osób, które ocalały z holocaustu. Wszystkie materiały pochodziły ze zbiorów Działu Widzy o Regionie MBP. Wystawa była czynna do połowy listopada. W drugim dniu festiwalu podejmowano gościa honorowego Festiwalu – Tadeusza Słobodzianka. Jest on laureatem Literackiej Nagrody Nike'2010 – za sztukę pt. „Nasza klasa", znanym dramaturgiem, krytykiem teatralnym, reżyserem, wykładowcą, współzałożycielem lalkarsko-aktorskiej grupy teatralnej „Wierszalin" (Supraśl). Od 2012 roku pełni funkcję dyrektora połączonych trzech warszawskich scen: Laboratorium Dramatu, Teatru na Woli oraz Teatru Dramatycznego. Po bardzo interesującym wykładzie Anny Stanek (instruktorka teatralna Bialskiego Centrum Kultury), dotyczącym twórczości bohatera festiwalu, publiczność powitała Tadeusza Słobodzianka. Ponad dwie godziny mówił on z wielkim zaangażowaniem i pasją o procesach twórczych, jakie towarzyszą dramatopisarzowi oraz reżyserowi teatralnemu. Słuchacze zgłaszali wiele pytań, na które autor wyczerpująco odpowiadał. Na koniec podkreślił, że spotkanie z bialską publicznością również dla niego było niezwykle ważne, co poświadczył wpisem w kronice: *Bardzo dziękuję za ciekawe i inspirujące spotkanie, dociekliwe pytania, które mnie samego zmusiły do przemyślenia paru rzeczy na nowo.* Wszystkie historie, zasłyszane w czasie dwudniowej odsłony Bialskiego Festiwalu Okołoliterackiego, były to *porządnie opowiedziane historie.*

## Okruchy rzeczywistości Radosława Jastrzębskiego

5 grudnia 2014 r. odbył się w Galerii Podlaskiej wernisaż wystawy Radosława Jastrzębskiego pt. *Okruchy rzeczywistości, malarstwo.* W twórczości artysty dominującym problemem formalnym jest światło, jako oczywisty i niezbędny element otaczającego nas świata. Oprócz znaczenia czysto formalnego posiada ono w obrazach także wymiar symboliczny oraz metafizyczny. Silne inspiracje czerpie autor z malarstwa polskiego II połowy XIX wieku. Jego mistrzami są tacy artyści, jak Jacek Malczewski, Ferdynand Ruszczyc, Jan Stanisławski, czy Aleksander Gierymski. Wnikliwe badanie efektów luministycznych jest dla artysty pretekstem do podejmowania różnorodnej tematyki, począwszy od obrazów poświęconych tragicznym wydarzeniom z historii, poprzez ukazanie dramatu życia ludzi z marginesu społecznego, po ironiczne, demaskujące płótna, nawiązujące do życia w świecie współczesnym.

## Komunikat z posiedzenia literackiego jury

Posiedzenie jury XXX Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. J. I. Kraszewskiego miało miejsce 9 października 2014 r. w Krzymoszycach. Jury, w składzie Eligiusz Dymowski (przewodniczący), Leszek Sokołowski, Grzegorz Michałowski, Urszula Pietruczuk (sekretarz), przyznało nagrody w następujących kategoriach:

Poezja:

I nagroda - Katarzynie Sawczuk z Białej Podlaskiej, za trafne ujęcie ludzkiego przeznaczenia, ciągłości i przypadkowości losów oraz odniesienia do historii
II nagroda - Zdzisławowi Kobierskiemu ze Skarżyska-Kamiennej, za poruszanie tematyki bliskiej codzienności, dotykanie prostych przeżyć za pomocą zwykłych słów
III nagroda - Paulinie Maciejuk z Lublina, za poetykę wnętrza, wypracowaną ze *skalpelem w ręku*

Proza:

I nagroda - Annie Czujkowskiej -Włodarskiej z Lublina, za unikalne poszukiwanie tożsamości i życiowej przestrzeni, z autoironią i satyrycznym polotem - w tekście „Dwie strony ulicy. Dziennik ubiegłego tysiąclecia"
II nagroda - Agnieszce Weronice Panasiuk z Białej Podlaskiej, za oryginalny pomysł na sentymentalną podróż po miejscach bliskich sercu - w tekście „Wędrujące wspomnienia"

III nagroda - Katarzynie Smyk z Pieniężna, za sentencyjną podróż tropem miłości, samotności i wspomnień, z subtelną kobiecością - w tekście „Jesień sprawiedliwa"

Nagrody specjalne:

- Klubu Literackiego „Maksyma" im. Wiesława Gromadzkiego - Dominikowi Sobolowi z Terespola, za malowniczość i oryginalność poetyckich opisów
- Za temat o Podlasiu – Jadwidze Marioli Jankowskiej z Turku, za podjęcie tematyki narodowościowej na krańcach wschodnich po II wojnie światowej - w tekście „Ślady z dzieciństwa"
- Za temat „o Kraszewskim" – Marii Pałkus z Tarnobrzega, za oryginalne podejście do tematu, zwrócenie uwagi na relacje Kraszewskiego z socjalizmem i sprawami zwykłych ludzi, mającymi odzwierciedlenie w jego działalności publicystycznej

**Czas Romana Pieńkowskiego**

3 października 2014 r. odbył się w Galerii Podlaskiej w Białej Podlaskiej wernisaż wystawy Romana Pieńkowskiego pt. „Czas". Pomysł na wystawę zaczerpnięty został ze wspomnień z lat dziecięcych artysty. Wystawa miała specyficzny charakter, inny od tych, do których nas autor przyzwyczaił.

fot: Jarosław Bartniczuk

Odszedł on od tak zwanych, jak to sam nazwał, form płaskich. Tym razem zaprezentował formę przestrzenną. Była to instalacja przedstawiająca scenę z czarno – białego westernu „Dyliżans" (1939 r.). Film ten stał się pretekstem do stworzenia owej wystawy, a zarazem do zastanowienia się nad upływają-

cym czasem. Stąd również taki, a nie inny tytuł wystawy. Na widzów czekała prezentacja pościgu dyliżansu przez grupę uzbrojonych Indian. Rzeźby odwzorowane zostały w sposób dosłowny, jakby żywcem wyjęte z klatek filmowych. Mieliśmy więc słynny dyliżans, a na nim kowbojów broniących się przed grupą atakujących Indian. Wystawa „wisiała w powietrzu", podczepiona linkami do sufitu, zajmując całą przestrzeń galeryjnego pomieszczenia. Pościg oddalał się od prezentowanej na ścianie fotografii, a zmierzał ku kolejnej. Oba zdjęcia nie były przypadkowe. Na pierwszym znajdowała się fotografia budynku kina, w którym R. Pieńkowski jako dziecko oglądał westerny. Drugie zdjęcie przedstawiało autora wystawy …w tamtych latach.

## Przegląd poezji śpiewanej

23 listopada 2014 r. odbyła się w Terespolu szesnasta edycja Powiatowego Przeglądu Poezji Śpiewanej. Wystąpiło 13 uczestników z powiatu bialskiego (Biała Podlaska, Sławatycze, Terespol, Piszczac, Małaszewicze). Po wysłuchaniu uczestników jury, w składzie Lech Dyblik (aktor, piosenkarz), Wojciech Andrzejuk (aktor, reżyser, muzyk) oraz Jarosław Michalak (muzyk jazzowy, organizator festiwali muzycznych), ogłosiło werdykt:
I miejsce – Alicja Lesiuk, reprezentująca Bialskie Centrum Kultury w Białej Podlaskiej. Wykonała utwory: 1. *Nastroje* (sł. i muz. Jarosław Wasik), 2. *Kobieta i mężczyzna* (rep. Czerwony Tulipan).
II miejsce (ex aequo): Weronika Michalczuk z Gminnego Ośrodka Kultury w Sławatyczach oraz Beata Wawryniuk z Białej Podlaskiej. III miejsca nie przyznano.
Wyróżnienia otrzymali: Daria Szelest oraz Weronika Celińska z Zespołu Szkół im. Władysława Stanisława Reymonta w Małaszewiczach (wykonały wspólnie, a capella, natstępujące utwory: 1. *Lubię wrony* (sł. Wojciech Młynarski, muz. Jerzy Wasowski), 2. *,Chodź pomaluj mój świat* (sł. Marek Dutkiewicz, muz. Janusz Kruk). Po zakończeniu prezentacji miał miejsce koncert cenionego aktora i piosenkarza Lecha Dyblika. Aktor zaprezentował program muzyczny składający się z piosenek rosyjskich, pochodzących jeszcze z okresu radzieckiego. Na początku wyjaśnił on, że utwory rosyjskie mają w so-bie duszę, są refleksyjne, piękne, subtelne, ale są również o absurdach ówczesnego ustroju społecznego. Podczas imprezy swój debiutancki tomik poezji pt. *marzeniodajnia* promował młody terespolski poeta Dominik Sobol. Zbiorek ten wydany został nakładem Miejskiej Biblioteki Publicznej w Białej Podlaskiej, w serii „Biblioteczka Podlaskiego Kwartalnika Kulturalnego" (nr 19).

## XII finał konkursu „Ocalić od Zapomnienia”

4 grudnia 2014 r. odbył się w Miejskiej Bibliotece Publicznej XII finał konkursu o tematyce regionalnej z cyklu „Ocalić od zapomnienia”, ph. „W mowie potocznej oddane”. Zadaniem bibliotekarzy w tegorocznej edycji było nawiązanie współpracy ze środowiskiem lokalnym, w celu zebrania słów, nazw rzeczy, czynności, opisów sytuacji oraz ułożenie słowników mowy potocznej, charakterystycznej dla danej miejscowości, czy też okolicy. Konkurs przebiegał pod patronatem Starosty Bialskiego - Tadeusza Łazowskiego, a zorganizowany został przez Miejską Bibliotekę Publiczną i Starostwo Powiatowe w Białej Podlaskiej, we współpracy z Towarzystwem Miłośników Podlasia i Stowarzyszeniem Bibliotekarzy Polskich Oddział w Białej Podlaskiej. Nagrody laureatkom wręczył Starosta Bialski – Tadeusz Łazowski. I miejsce zajęła Filia Gminnej Biblioteki Publicznej w Dokudowie, za pracę „W cieniu dawnego podwórka - mową potoczną oddane”. Dzięki zaangażowaniu młodzieży zebrano cenną dokumentację mowy przodków, uzupełnioną nagraniami dawnych opowieści w języku chachłackim, używanym w Dokudowie i okolicy. II miejsce otrzymała Filia Gminnej Biblioteki Publicznej w Szóstce (gm. Drelów), za opracowanie pt. „Spod strzechy wyjęte. Słownik mowy zapomnianej”. III miejsce wywalczyła Gminna Biblioteka Publiczna w Rokitnie, za pracę „W mowie potocznej oddane”.

Opracował:
*Jarosław Bartniczuk*

## *NADESŁANO DO REDAKCJI*

**Książki:**

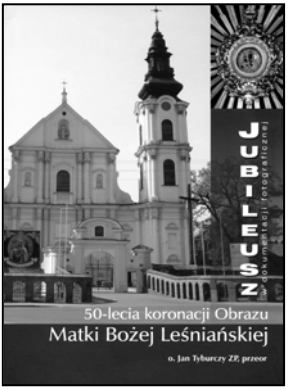


- ✓ o. Jan Tyburczy, Jubileusz w dokumentacji fotograficznej 50-lecia koronacji Obrazu Matki Bożej Leśniańskiej, Warszawa 2014

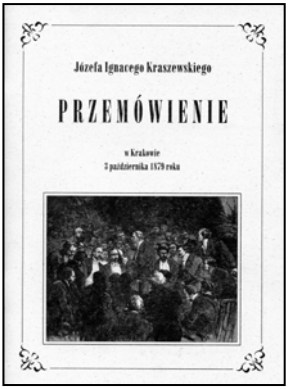


- ✓ Antologia poezji: absolwentów IV Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Staszica w Białej Podlaskiej, T.1, Biała Podlaska 2014
- ✓ ks. Czesław Maziejuk, Nauczanie religii w Diecezji Siedleckiej w XX wieku, Biała Podlaska 2008
- ✓ Józefa Ignacego Kraszewskiego: przemówienia wygłoszone w Krakowie dnia 3 października 1879 roku, Romanów 2014
- ✓ ks. Wiesław Skiepko, Monografia Parafii Prawosławnej p.w. Św. Archanioła Michała w Nosowie, Leśna Podlaska 2014
- ✓ Aldon Dzięcioł, Od Bugu: polskie refleksje, Włodawa 2014
- ✓ Zbigniew Adrjański, Polesia czar: wspomnienia, gawędy, opowieści, Gdańsk 2013

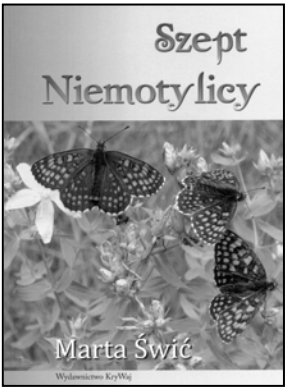


- ✓ Przysmaki pogranicza, Biała Podlaska 2014
- ✓ Spotkania koleżeńskie: toasty, Biała Podlaska 2014
- ✓ Powiatowych Biegów Ulicznych Memoriału im. Wincentego Kozłowskiego w Terespolu, Terespol 2010
- ✓ Krzysztof Gruszkowski, Nad starym Bugiem w Sławatyczach, Biała Podlaska 2012

- ✓ Szlak rowerowy: śladami nadbużańskich tajemnic: przewodnik turystyczny, Biała Podlaska 2014
- ✓ Renata Nowicka, Jacek Papiński, Krystyna Pucer, Dwadzieścia lat minęło: zarys historii Powiatowych Biegów Ulicznych Memoriału im. Wincentego Kozłowskiego w Terespolu, Terespol 2010
- ✓ Bug rzeka życia: nadbużańskie impresje, Warszawa 2008
- ✓ Anna Czarnomska i in., Krystyna Krachelska: bohaterka Warszawy rodem z Podlasia, Sosnowica 2014
- ✓ Gmina Terespol: gmina z przyszłością, Kobylany 2014
- ✓ XV lat Powiatu Parczewskiego 1999-2014, Parczew 2014
- ✓ Marta Świć, Szept Niemotylicy, Koszalin 2014
- ✓ Brühl: Meandry natury ludzkiej, Kodeń 2014

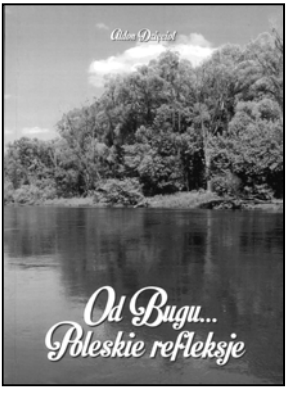


**Czasopisma:**

- ✓ „Nadbużańskie Sławatycze", R. 14, 2013
- ✓ „Wschodni Rocznik Humanistyczny", T. 8 [2012]
- ✓ „ Radzyński Rocznik Humanistyczny", T 10 [2012]
- ✓ „V Rocznik Konstantynowski" [2014]

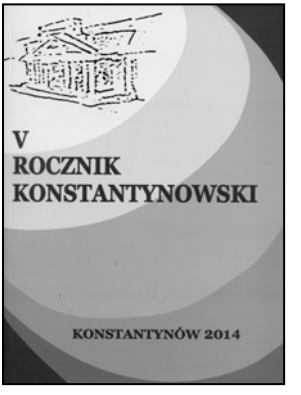

- ✓ „Echo Studzianki”, 2014, nr 3
- ✓ „ Nasze Łomazy: biuletyn mieszkańców Łomaz”,2014, nr 1
- ✓ „Gościniec Bialski”, 2014, nr 10,11,12
- ✓ „Pryzmat”, 2014, nr 10,11,12
- ✓ „Wschodni Rocznik Humanistyczny”, T. 9 [2013]

„PODLASKI KWARTALNIK KULTURALNY”

do nabycia w:

* Księgarni Podlaskiej
(Biała Podlaska, ul. Warszawska 1)

* Miejskiej Bibliotece Publicznej
Dział Wiedzy o Regionie
(Biała Podlaska, ul. Warszawska 12 a)

* SAS Jaworscy Sp. Jawna
(Biała Podlaska, ul. Sidorska 2K)

*Książnica Bialska, Księgarnia Akademicka MARATON
21-500 Biała Podlaska, ul. Akademicka 2
www.maraton.net.pl, www.miks.pl

lub w prenumeracie

cena: 10 zł